

# rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 15 (1025)

13 KWIECZNIA 1980

CENA 2 ZŁ

## W NUMERZE:

Sakrament przebaczenia i pokoju ● Droga do Ojca ● Chrześcijańskie Emaus – znakiem obecności Jezusa ● Dziesięć wieków Lublina ● Ciałowiec przyszłości ● „Rodzina” – dzieciom ● Pogadanki o historii Kościoła



„Tego samego dnia dwaj z nich byli w drodze do wsi, zwanej Emaus, oddalonej sześćdziesiąt stadiów od Jerozolimy. Rozmawiali oni ze sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali ze sobą, sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi” (Łk 24,13-16)

# SAKRAMENT przebaczenia i pokoju

Niedziela dzisiejsza kończy obchody uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego. W liturgii kościelnej nazywa się ona niedzielą Białą, a właściwie niedzielą „po zdjęciu białych szat”. Nazwa ta jest nawiązaniem do zwyczaju praktykowanego w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy to nowo ochrzczeni przez cały tydzień nosili — otrzymane przy Chrzcie świętym — białe szaty. W tym zaś dniu po raz pierwszy przychodzili do świątyni w swym zwyczajnym odzieniu i zajmowali miejsca wśród innych wyznawców. W języku staropolskim zwie się ona niedzielą Przewodnią. Nazwa ta wywodzi się stąd, że w tym dniu zmieniano miejsca pracy lub dzierżawy i „przewodzano”, czyli przeprowadzano się na inne miejsce.

Liturgia oktawy wielkanocnej przypomina ponadto skutki odkupienia. Bowiem przez śmierć swoją i zmartwychwstanie doprowadził Zbawiciel do pojednania między Bogiem a człowiekiem oraz udzielił pokoju ludzkim duszom. Potwierdzeniem tego były słowa sekwencji paschalnej, której słowa brzmią:

„Ofiarujmy chwałę w wierze,  
Przy wielkanocnej ofierze;  
Gdy Baranek owce zbawił,  
Chrystus grzesznym pokój sprawił”.

Ewangelia dzisiejsza przypomina nam dwa wydarzenia z życia Jezusa zmartwychwstałego. Opowiada bowiem o ukazaniu się Zbawiciela apostołom wieczorem dnia wielkanocnego, kiedy to ustanowiony został Sakrament Pokuty — zwany również „sakramentem przebaczenia”. Podaje również szczegóły dotyczące zjawienia się Chrystusa niewiernemu Tomaszowi, które miało na celu usunięcie z jego duszy niepokojów oraz utwierdzenie go w przekonaniu o prawdziwości zmartwychwstania Mistrza. To też będzie treścią niniejszego rozważania.

Niewiasty galilejskie, które w poranek wielkanocny oglądały pusty grób Chrystusa, otrzymały zapewnienie aniołów, że On żyje. Również Piotr i Jan przekonali się osobiście, że w grobie nie ma Jezusa. Ponadto, jeszcze tego samego dnia ukazał się Zbawiciel w widzialnej postaci pobożnym niewiastom, Szymonowi-Piotrowi oraz uczniom idącym do Emaus. Wszystkie wymienione osoby wiadomości o zmartwychwstaniu Jezusa przekazały niezwłocznie apostołom, których sercami nadal targał lęk i niepokój, gdyż — jak stwierdza Ewangelista — „smucili się (oni) i płakali (Mk 16.10). Niewiele to jednak pomogło, skoro „słowa te wydały im się niby baśnie, i nie dawali im wiary” (Łk 24.11). Trzeba więc było, by owe wątpliwości i niepokoje osobiście rozproszył Zbawiciel.

Był wieczór dnia wielkanocnego. Apostołowie zdążyli już zgromadzić się w Wieczerniku, gdzie „drzwi były zamknięte... z bojaźni przed Żydami” (J 20, 19a). Przed chwilą powrócili z Emaus dwaj uczniowie i opowiedzieli, co ich spotkało w drodze. Przynieśli więc nowe wzmocnienie wiary i nowe pobudki wesela, chociaż ich opowiadanie przyjęte zostało dosyć chłodno. Następnie uczniowie — jak to wynika z relacji innych Ewangelistów — zasiedli do wspólnego posiłku. I wówczas stało się coś, czego najmniej się spodziewali. Chociaż nikt nie otwierał drzwi, „przyszedł Jezus, stanął pośrodku i rzekł do nich: Pokój wam!” (J 20, 19b). Odziany był w szatę śnieżnej białości, całe ciało było dziwnie zdrowe i świeże, rany rąk i nóg zdawały się promieniować nieziemskim blaskiem a twarz miała wyraz niezwykłej dobroci. Jednak ani widok stojącego przed nimi Zbawiciela, ani nawet słowa pozdrowienia nie potrafiły usunąć bojaźni z ich serc. Zdawało im się bowiem, że mają przed sobą ducha.

Wtedy Jezus „ukazał im ręce i bok” (J 20, 20a). Wątpliwości rozproszyła fizyczna rzeczywistość. Przekonali się bowiem, że Chrystus w swym nowym życiu ma to samo ciało co przedtem i nie jest tylko mglistym cieniem, który wyostał się z Szeolu. Jest bowiem człowiekiem o prawdziwym, chociaż uwielbionym ciele, które ponownie złączyło się z duszą. Nie należy się więc dziwić, że — jak uzupełnia swoją relację Ewangelista — „uradowali się... uczniowie, ujrawszy Pana” (J 20, 20b). Zdaniem Ojców Kościoła, Chrystus Pan chciał na swym uwielbionym ciele zachować bliźny na rękach, stopach i boku, aby apostołom dać przez to namacalny dowód rzeczywistego zmartwychwstania. Pragnął też mieć wieczną pamiątkę cierpienia, poniesionych dla zbawienia rodzaju ludzkiego. Chciał wreszcie, by przez bliźny swoich ran pobudzić ludzi do ufności i wdzięczności.

Ustosunkowując się do współczesności, nie zapomniał również Syn Boży o przyszłej pracy apostołów nad budowaniem Królestwa Bożego na ziemi. Zwracając się bowiem do tych, którzy mu zawierzyli, „rzekł... Jezus: Pokój wam! Jak Ojciec mnie posłał, tak i ja was posyłam. To rzekłszy, tchnął na nich i powiedział im: Weźmijcie Ducha Świętego” (J 20, 21—22). Tchnienie to było symbolem i znakiem wewnętrznej i niematerialnej łaski, jaką Chrystus dał apostołom, tj. Ducha Świętego będącego tchnieniem wzajemnej miłości Ojca i Syna. Otrzymali więc Ducha Świętego, ale jeszcze nie w tej obfitości i pełnych darów, jak to będzie miało miejsce w dniu Zielonych Świąt, kiedy cały Kościół otrzyma Ducha prawdy i łaski.

Następnie wypowiedział Jezus wiekopomne słowa, których skutki trwać będą aż do skończenia świata. Rzekł bowiem:



I przyszedł Jezus, gdy drzwi były zamknięte, i stanął pośród nich, i rzekł: Pokój wam! Potem rzekł do Tomasza: Daj tu palec swój i oglądaj ręce moje, i podnieś rękę swoją, i włóż w bok mój, a nie bądź bez wiary, lecz wierz” (J 20, 26-27).

„Którymkolwiek grzechy odpuszcicie, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są zatrzymane” (J 20, 23). W ten sposób — w dzień swojego zmartwychwstania — obdarzył Zbawiciel całą ludzkość skarbem łaski i przebaczenia, wysłużonym przez mękę i śmierć swoją. Przekazał bowiem apostołom i ich następcom — biskupom i kapłanom — władzę odpuszczania grzechów, która stanie się dla upadłej i odkupionej ludzkości źródłem łaski i pokoju wewnętrznego.

Podczas pierwszego pojawienia się Chrystusa zmartwychwstałego, w Wieczerniku nie byli apostołowie w komplecie. Tego bowiem wieczoru — jak podaje autor czwartej Ewangelii — „Tomasz, jeden z dwunastu, zwany Didymos (co w tłumaczeniu z języka greckiego znaczy: Bliźniak) nie był z nimi” (J 20, 24). Przyczyna jego nieobecności nie jest jednak znana. Gdy wkrótce potem znalazł się ponownie w gronie apostołów, „powiedzieli mu... inni uczniowie: Widzieliśmy Pana” (J 20, 25a). Jednak to stwierdzenie Tomaszowi nie wystarczyło. Bowiem — jakby zgorszony łatwowiernością współbraci — energicznie odpowiedział: „Jesli nie ujrę na rękach jego znaku gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, ...i ręki moje w bok jego, nie uwierzę” (J 20, 25b).

Trzeba więc było, by dopiero Zbawiciel przekonał go osobiście o fakcie swego zmartwychwstania. Bowiem — jak czytamy w czwartej Ewangelii — „po ośmiu dniach byli w domu uczniowie jego i Tomasz z nimi. I przyszedł Jezus, gdy drzwi były zamknięte, i stanął pośród nich, i rzekł: Pokój wam! Potem rzekł do Tomasza: Daj tu palec swój i oglądaj ręce moje, i podnieś rękę swoją, i włóż w bok mój, a nie bądź bez wiary, lecz wierz” (J 20, 26—27). Sama obecność Chrystusa oraz skierowane pod jego adresem zarzuty, usunęły wątpliwości apostoła. Zwracając się więc do Mistrza, rzekł: „Pan mój i Bóg mój”. Zaś w odpowiedzi usłyszał: „Ze mnie ujrzałeś, uwierzyłeś; (ale) błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli” (J 20, 29). Ze słów tych wynika, że Tomasz powstrzymał się od dotknięcia ciała Zmartwychwstałego. Jego bowiem nieufność ustąpiła zupełnie, nie tyle na skutek dociekań rozumowych i fizycznego doświadczenia, lecz w wyniku wewnętrznej, duchowej przemiany.

\*

Wspaniałym darem zmartwychwstałego Chrystusa dla ludzi wszystkich wieków i pokoleń jest Sakrament Pokuty. Kiedy bowiem — na skutek naszych słabości i upadków — tracimy życie nadprzyrodzone i stajemy się umarłymi dla Boga, dzięki temu sakramentowi możemy powstać z grobu naszych grzechów. Bo według nauki Apostoła, Syn Boży „został wydany za grzechy nasze i wzbudzony z martwych dla usprawiedliwienia naszego” (Rz 4, 25). Wiekanocnym darem Pana Jezusa jest to, że raz upadłszy nie musimy w grzechu pozostać, i że upadek nie pociąga za sobą ostatecznej zguby. Gdyż „Bóg nie chce śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył”.

W jednej ze starych świątyni w Hiszpanii znajduje się dziwny wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego. Bowiem tylko jedna jego ręka przytwierdzona jest do krzyża, podczas gdy druga jest wyciągnięta, jak do błogosławieństwa. Według legendy, nie opodal tego krzyża spowiadał się człowiek, który ustawicznie wpadał w te same grzechy. Dlatego spowiednik nie chciał udzielić mu rozgrzeszenia. Wówczas z krzyża odezwał się Zbawiciel, mówiąc: „Ja cię rozgrzeszam z grzechów twoich”. Równocześnie zaś prawa ręka Jezusa — do tej pory przytwierdzona gwoździem — wyciągnęła się, czyniąc nad pokutującym grzesznikiem krzyż, znak przebaczenia. I tak już pozostała.

Trudno jest stwierdzić czy tak rzeczywiście było, gdyż jest to tylko legenda. Jest jednak niezaprzeczną prawdą, że Sakrament Pokuty — ustanowiony przez Jezusa Chrystusa w ów wieczór wielkanocny — jest dowodem Bożego miłosierdzia, znakiem przebaczenia i pojednania oraz środkiem do odzyskania utraconego życia łaski. Korzystajmy więc często z tego sakramentu. Tylko bowiem pod tym warunkiem uzyskamy przebaczenie naszych win, odzyskamy utracone przez nie dziecięctwo Boże i pokój naszych dusz.

KS. JAN KUCZEK



## DROGA DO OJCA

**Człowiek** — najwyżej zorganizowana istota na ziemi ma swój prawni wzór w Bogu. Stwierdza to dobitnie Pismo święte, przekazując postanowienie Stwórcy: „Uczyńmy człowieka na obraz nasz, podobnego do nas i niech panuje nad rybami morskimi i nad ptactwem niebios i nad bydłem i nad całą ziemią, i nad wszelkim płazem pełzającym po ziemi. I stworzył Bóg człowieka na obraz swój. Na obraz Boga stworzył go” (Rdz 1, 26—27).

Przepaści między człowiekiem a resztą bytów materialnych nie udało się do tej chwili i zapewne nie uda się nigdy zasypać. Wdzięczny za tak wielkie wyniesienie ponad wszystkie stworzenia na ziemi, człowiek od zarania swego świadomego bytu dąży do poznania Pierwowzoru i największego Dobroczyncy. Postępuje jak dziecko zagubione w czasie wojny i trawione tęsknotą za rodzicami. Podejmuje wciąż na nowo próby odnalezienia Ojca. By dotrzeć do swego Stwórcy angażuje przez wieki wszystkie siły i władze: ciało i ducha, zmysły i rozum, wolę i uczucie. Pan wszechświata i nasz Ojciec niebieski docenił nasze wysiłki i zesłał nam Zbawiciela, aby człowiek nie błądził w nieskończoność po manowcach materialnych ścieżek, które mogą jedynie wskazywać kierunek, ale nie stanowią właściwej drogi do Boga. Od chwili przyjścia Chrystusa ludzkość zyskała dar przewyższający wszelkie inne — możliwość uczestnictwa w życiu Bożym, dotarcie do świetlanego Pierwowzoru i zatopienia się w Nim, czyli sposobność realizacji odwiecznych pragnień ludzkiego ducha.

W Jezusie Chrystusie niewidzialny, nieskończenie doskonały, niematerialny Bóg otrzymuje ludzkie ciało. Tracą po części sens słowa św. Jana nauczającego, że „Boga nikt nigdy nie widział”. W Jezusie oczy ludzkie mogą oglądać swego Stwórcę. Kiedy w imieniu apostołów Filip poprosił swego Mistrza, by pokazał im Ojca, Zbawiciel z delikatnym wyrzutem tłumaczy: „Tak długo jestem z wami i nie poznałeś mnie, Filipie? Kto mnie widział, widział Ojca; jak możesz mówić: Pokaż nam Ojca? Czy nie wierzysz, że jestem w Ojcu a Ojciec we mnie?” (J 14, 9—10).

Był czas, nawet w Kościele chrześcijańskim, kiedy za podobne do Filipowego życzenia, miałby ktoś spore przykrości. Zobaczyć Boga? Ależ to niemożliwe! Należało przyjmować z pokorą tylko to, co podawali stróże wiary, a wszelkie rozumowe dociekania uważano, za niebezpieczne. Tymczasem Jezus od początku nauczania domaga się wiary w swoje posłannictwo, — ale nie ślepej, lecz poprzedzonej badaniem i rozumowaniem: „Szukajcie prawdy, a prawda was wyzwoli. Jam jest droga, prawda i życie, nikt nie przychodzi do Ojca tylko przeze mnie” — mówi Zbawiciel. Słowa te odnoszą się w równej mierze do Apostołów, jak i do nas. Istnieje jednak zasadnicza różnica między sytuacją słuchaczy siedzących u stóp Mistrza z Nazaretu, a naszą. Apostołowie widzieli rzeczywistą twarz Chrystusa i mogli z nim przebywać. Wraz z odejściem Zbawiciela do Chwały, ustał fizyczny kontakt ludzi z Bogiem. Nie możemy więc być z Nim

tak, jak apostołowie. Nie jesteśmy jednak w gorszej sytuacji niż bezpośredni uczniowie Pana. Postarał się o to sam Zbawiciel i świadkowie Jego życia. Jezus założył Kościół i pozostał w Nim po wszystkie dni aż do skończenia świata, dla wszystkich ludzi. Pozostał rzeczywistością, chociaż zmienił formę bytowania. Swoim Duchem podtrzymuje nadprzyrodzone istnienie i działanie Królestwa Bożego na ziemi. Świadkowie zaś pozostawili przyszłym pokoleniom Chrystusa żyjącego w formie Słowa na kartach ksiąg Nowego Testamentu. Księżdzę tej możemy ufać bez zastrzeżeń. Nie boi się ona rozumowej krytyki i sprawdzania. Ci, co ją pisali oddali życie za przekazaną prawdę. Gdyby nawet znalazł się ktoś, kto ośmieliłby się cokolwiek zmieniać natychmiast dostrzeżonoby fałsz, gdyż „te sprawy nie działają się w kącie” — stwierdza św. Paweł (Dz 26, 26). Świadkowie nauki, cudów, męki i śmierci Pana mogli pisać tylko szczerą prawdę. Święty Jan napisał: Świadczy o tym „cośmy widzieli i słyszeli, czego się ręce nasze dotykały” (1 J 1, 1).

Jeśli trudno nam czasem zgodzić się na fakt istnienia Chrystusa w niedoskonałej społeczności kościelnej naszych czasów, sięgnijmy po Biblię. Zatapiając się w treść Ewangelii, zobaczymy żywego Jezusa, który przemówi do nas z ksiąg Nowego Testamentu i z głębin naszego ducha, gdzie istnieje jako nasz Zbawca i Przewodnik na drodze do Ojca. On nam wyłoży tajemnicę życia Kościoła, którego każdy chrześcijanin przez chrzest staje się rzeczywistym członkiem. „Ja jestem prawdziwym krzewem winnym — mówi Zbawiciel — a Ojciec mój jest ogrodnikiem. Każdą latorośl, która we mnie nie wydaje owocu odcina, a każdą, która wydaje owoc, oczyszcza, aby wydała jeszcze obfitszy owoc. Jak latorośl sama z siebie nie może wydać owocu, jeśli nie trwa w krzewie winnym, tak i wy, jeśli we mnie trwać nie będziecie. Kto trwa we mnie, a ja w nim, ten wydaje wiele owocu, bo beze mnie nic uczynić nie możecie” (J 15, 1—5).

Gdy przyjdzie nam ochota zobaczyć na własne oczy Boże tajemnice, lub zwątpienie zrodzi się w duszy, Zbawiciel wyciąga do nas palec ongiś do Tomasza przebite gwoździami dłonie i mówi: „Daj jać swój i oglądaj ręce moje, i daj rękę swoją i włóż w bok mój, a nie bądź bez wiary, lecz wierz”.

Tradycja chrześcijańska przekazała opowieść o dzielnej kobiecie jerozolimskiej, która przedarła się przez kordon żołnierzy, odprowadzających Chrystusa na krzyżową śmierć i otarła białą chustą twarz Zbawiciela pokrytą potem, kurzem i krwią. Pan Jezus z wdzięcznością przyjął tę usługę. W nagrodę owa niewiasta otrzymała na chuście „weron ikon” — prawdziwy obraz cierpiącego Zbawcy. Jako Boże dzieci i uczniowie Chrystusa mamy stać się dla otaczającego nas świata drogą, która przybliży światu Boga. Niech rzeczywistość Chrystus działa w nas i przez nas. Pozwólmy Jezusowi wycisnąć na naszym sercu swoją najświętszą postać. O tyle świat zbliży się do swego Stwórcy, o ile Ojciec niebieski rozpozna w naszych twarzach rysy swego Jedyne Syna.

KS. ALEKSANDER BIELEC

## JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

(1894—1980)

W dniu 2 marca 1980 roku zmarł w wieku 86 lat Jarosław Iwaszkiewicz, znakomity pisarz, prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, wybitny Polak i gorący patriota, poseł na Sejm, zasłużony działacz międzynarodowego ruchu pokoju, laureat licznych nagród literackich, doktor honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Twórczość Jarosława Iwaszkiewicza wzbogaciła dorobek naszej kultury o wiele wspaniałych dzieł o nieprzemijających wartościach. Wśród wielu książek J. Iwaszkiewicza, które towarzyszą nam od przeszło pół wieku, szczególnie znane są czytelnikom powieści: „Sława i chwała”, „Księżyc wschodzi”, „Czerwone tarcze”, a także „Panny z Wilka”, „Młyn nad Lutnią” i „Brzezina”.

Śmierć Jarosława Iwaszkiewicza, wielkiego humanisty i wielkiego twórcy jest ogromną stratą dla kultury narodu polskiego i całego świata.



## UCZNIOWIE Z EMAUS

„Tego samego dnia dwaj z nich byli w drodze do wsi, zwanej Emaus, oddalonej sześćdziesiąt stadiów od Jeruzolimy. Rozmawiali oni ze sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali ze sobą, sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi. Lecz oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali. On zaś ich zapytał: „Cóż to za rozmowy prowadzicie ze sobą w drodze?” Zatrzymali się smutni. A jeden z nich, imieniem Kleofas, odpowiedział Mu: *Ty jesteś chyba jednym z przybywających w Jeruzolimie, który nie wie, co się tam w tych dniach stało. Zapytał ich: Cóż takiego? Odpowiedzieli Mu: To, co się stało z Jezusem z Nazaretu, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu; jak arcykapłani i nasi przywódcy wydali Go na śmierć i ukrzyżowali. A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela. Tak, a tym wszystkim dziś już trzeci dzień jak się to stało. Nadto jeszcze niektóre z naszych niewiast przeraziły nas: Były rano u grobu, a nie znalazły Jego ciała, wróciły i opowiadały, że miały widzenie aniołów, którzy zapewniają, iż On żyje. Poszli niektórzy z naszych do grobu i zastali wszystko tak, jak niewiasty opowiadały, ale Jego nie widzieli.*

Na to On rzekł do nich: *O nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swojej chwaly?”* I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego.

Tak przybliżywszy się do wsi, do której zdążali, a On okazywał, jakoby miał iść dalej. Lecz przymusili Go, mówiąc: *Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił.* Wszedł więc, aby zostać z nimi. Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, lecz On zniknął im z oczu. I mówili nawzajem do siebie: *Czy serce nie paliło w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał?*

W tej samej godzinie wybrali się i wrócili do Jeruzolimy. Tam zastali zebranych Jedenastu i innych z nimi, którzy im oznajmili: *Pan rzeczywiście zmartwychwstał i ukazał się Szymonowi.* Oni również opowiadali, co ich spotkało w drodze, i jak Go poznali po łamaniu chleba (Łk 24, 13—35).

Chrystus zgromadził wokół siebie pewną grupę ludzi, którzy związali z Nim swoją przyszłość. Zanim to jednak uczynili, każdy z nich wyobrażał sobie, jak ta przyszłość będzie wyglądała. Brali pod uwagę to, co On mówił o sobie, że nazywał siebie Bogiem. Pamiętali o Jego mocy czynienia cudów i szerokich perspektywach nakreślonego przez Niego Królestwa. Wszystko to zdawało się wskazywać, że przyszłość będzie wspaniała i pełna radości. Tymczasem w dniach męki i śmierci Chrystusa rzeczywistość okazała się inna, niż przewidywali. Gdzieś zagubiła się Ewangelia spokojnego i dostatniego życia, osłoniętego cudowną mocą Chrystusa. Ewangelia jak gdyby rozminęła się z życiem, które poszło swoją, nieprzewidzianą drogą, drogą męki i śmierci.

Tak rozmawiało dwóch uczniów Chrystusa idących do Emaus. Opuszcili oni Jeruzolimę zniechęceni wydarzeniami, które się tam rozegrały. Wprawdzie wynieśli oni stamtąd resztki nadziei ale przerodziła się ona w rozczarowanie: *A myśmy się spodziewali, że On miał odkupić Izrael!”*

Dopiero, gdy Chrystus utajony dołączył się do nich, porozmawiał z nimi i ukazał nową perspektywę chrześcijaństwa. Ewangelia znowu nabrała realnych kształtów i nawiązywała kontakt z życiem.

Kościół nauczył się od dwóch uczniów z Emaus, że Chrystus ma zwyczaj w sposób niewidzialny dołączyć się do swego Kościoła i prowadzić z nim dialog, w którym ukazuje łączność swojej nauki z teraźniejszością. On sam powiedział: *„Królestwo niebieskie podobne jest do człowieka gospodarza, który dobywa ze skarbcza swego rzeczy nowe i stare”*.

Cała nasza mądrość chrześcijańska jest w tym, że trzeba z Chrystusem iść cierpliwie i trzeba prowadzić rozmowę. Trzeba czasem się z Nim do stołu, połamać z Nim chleb, spotkać się z Nim w Eucharystii i czerpać z duchowych wartości, jakie Chrystus zоставił swoim uczniom, wtedy otworzą się nam oczy i zobaczymy miejsce Boga we współczesnym świecie i prawdziwy wymiar Ewangelii, która nie ma ani czasu przeszłego, ani przyszłego.

Łatwo mówić o wierności Chrystusowi, gdy życie układa się tak jak zaplanowaliśmy, gdy wszystko odbywa się na miarę naszego rozumu. Kiedy się nam jednak w życiu wszystko płącze i gmatwa, kiedy otaczająca nas rzeczywistość staje się nieprzejrzysta i niezrozumiała, wtedy nasza wierność jest zagrożona. Wówczas nie pozostaje nam nic innego, jak korzystać z doświadczeń dwóch uczniów idących do Emaus i wymodlić sobie, aby przyłączył się do nas niewidzialny Chrystus, aby pokazał nam to, czego nie możemy pojąć naszym ludzkim rozumem.

## Rozmyślanie

Etapy na drodze Chrystusa i ludzi

### POKUSA

„Potem (Jezus) wsiadł do łodzi, a uczniowie towarzyszyli mu. Wtem zerwała się wielka burza na morzu, tak że fale zalewały łódź. On tymczasem spał. Zbliżyli się więc uczniowie do niego i przebudzili go wołając: „Panie, ratuj (nas), giniemy”. On zaś odparł im: „Czemu ogarnia was strach, ludzie małej wiary?” Potem powstał, rozkazał wicherom i morzu i stała się wielka cisza” (Mt 8, 23—26).

„Zaprawdę powiadam wam: Jeżeli nie staniecie się znów jako dzieci, nie wejście do Królestwa niebieskiego” (Mt 18, 3).

Ja już nie mogę, Panie!  
Jestem rozbity,  
Zmordowany.

Od samego rana walczę, by uciec od pokusy, która raz dyskretna, przekonywająca, to znów czuła i zmysłowa, tańczy przede mną jak wabiąca dziewczyna przed jarmarcznyimi budami.

Już nie wiem, co robić,  
Już nie wiem, dokąd iść,  
Bo czatuje na mnie, idzie za mną, ogarnia mnie.  
Gdy uciekam z jednego pokoju, siedzi czekając na mnie w drugim.  
Chwytam gazetę — pokusa kryje się w niewinnym artykule.  
Wychodzę — spotykam ją w uśmiechniętej twarzy nieznajomego.  
Odwracam się plecami i patrzę na mur — ona wyłania się z afisza.  
Wracam do pracy — ona drzemie na stole akt i budzę ją biorąc potrzebne mi papiery.

Z rozpaczą kryję moją biedną głowę w dłoniach, zamykam oczy, by jej nie widzieć.

Ale odkrywam ją jeszcze ruchliwszą, usadowioną jak u siebie w moim zamkniętym domu.

Bo wywaliła drzwi mego domu,  
Wśliznęła się w moje ciało,  
w moje żyły,  
aż do czubków palców.  
Weiska się w zakamarki pamięci,  
Spiewa w ucho wyobraźni,  
Gra na mych nerwach jak na strunach gitary.  
Już nie wiem, co się ze mną dzieje, Panie,  
Już nie wiem, czy chcę tego grzechu, który mnie kusi, czy od niego uciekam, czy gonię za nim.

Kręci mi się w głowie, otchłań pociąga mnie jak nieostrożnego alpinistę, który nie może ani dalej posuwać się, ani się cofnąć.

Panie, Panie, pomóż mi!

Moje dziecko, jestem przy tobie  
Nie opuściłem cie.  
Jakże mało masz wiary!  
Jesteś za bardzo pyszny,  
Więź liczysz na siebie.

Jeżeli przez wszystkie pokusy chcesz przejść bez upadku, bez słabnięcia, spokojny, pogodny,  
To trzeba, byś oddał się w moje ręce,  
Trzeba, byś uznał, że jeszcze nie jesteś dojrzały, jeszcze nie dosyć silny.

Trzeba, byś zgodził się na kierowanie sobą,  
Jak dziecko,  
Jak moje jedyne dzieciątko.

Więc podaj mi rękę i nie bój się niczego.  
Jeżeli będzie błoto, poniosę cię w mych ramionach.  
Ale trzeba, żebyś się stał malutki, maluteńki,  
Bo tylko małe dzieci Ojciec nosi.

M. QUOIST

Tytuł dzisiejszego felietonu jest raczej pesymistyczny. Bo i nie za bardzo jest się z czego śmiać. Rzecz dotyczy istnienia nas wszystkich, a więc możliwości życia i śmierci ponad czterech miliardów ludzi. Jest się nad czym głowić, choć przyznaje, więcej z tego głowobólu niż rozwiązań satysfakcjonujących. Przyszło nam żyć w świecie, który doszedł w ciągu niewielkiego czasu do możliwości realnego unicestwienia nas wszystkich za jednym zamachem. Dla jednych to oznaka szczególnej potęgi człowieka, dla drugich źródło rozpacz. Pomiedzy jednymi a drugimi mieszczą się setki innych, dla których żadna z wymienionych postaw nie jest budująca. Być bowiem dumnym z tego, że można jednym naciśnięciem atomowego, neutronowego czy jak go tam zwał guzika wysadzić w powietrze cały glob ziemski może tylko ten, kto kompletnie nie zdaje sobie sprawy z wartości życia ludzkiego. Mało kto nie pojął, że na istnieniu ziemi zależy nie tylko nam ludziom, ale — by tak rzec — całemu kosmosowi. Tak jest, kosmosowi. To wcale nie takie dziwne. Żyjemy na ziemi i wszystko co się na niej dzieje jest ważne dla całego układu kosmicznego. W interesie ludzi i kosmosu leży zachowanie życia na ziemi. To zmusza do zmiany sposobu patrzenia na sprawy ludzkie. Jesteśmy niby sami w kosmosie — choć są opinie głoszące wręcz odwrotne przekonania — ale kosmos nie może się bez nas obejść. Jesteśmy mu tak samo potrzebni jak on nam.

Co dotyczy rozpacz, kwestia trudniejsza. Wchodzą tu w grę prawdziwe dramaty, które jak w autentycznej tragedii greckiej nie mają rozwiązań pozytywnego. Cokolwiek nie zrobimy, zawsze zrobimy źle. Oto w największym skrócie charakterystyczna własność rozpacz. Przeciwstawić się rozpacz nie sposób. Przynajmniej nie można jej przedłożyć rozwiązań racjonalnych. Dla niej nie ma lekarstwa. Ale i ona nie stanowi lekarstwa na cokolwiek. Rozpacz rodzi ból i gniew, bunt i zwątpienie w sens ludzkiego istnienia. Rozpacz to naczynie beznadziei.

Jakże odmiennymi drogami chodzą uczucie potęgi człowieka i poczucie jego beznadziei. Jak trudne do pojęcia jest to, że w końcu drogi te zbiegają się w jednym punkcie. Jest to miejsce, gdzie do głosu dochodzi tragiczna w istocie rzeczy świadomość bezsensu istnienia życia ludzkiego. Zarozu-



## KU GRANICOM BEZSENSU

miałość człowieka i rozpacz człowieka prowadzi do tego samego, do beznadziei, do granicy bezsensu.

Obu tym postawom przeciwstawia się chrześcijaństwo. To właśnie w granicach chrześcijańskiego myślenia powstają i z wiekami z coraz tą większą siłą odnawiają się przeświadczenia, że ludzkie życie w wymiarze pojedynczym i zbiorowym ma głęboko uniwersalny sens. Że żadne z istnień ludzkich nie może być traktowane jako obiekt, jak rzecz, jako coś co dzisiaj jest ważne, a jutro już nie. Zwróćmy na to uwagę. Tym bardziej jest to istotne, że poczucie potęgi i rozpacz opierają się w gruncie rzeczy na ujmowaniu spraw ludzkich jak rzeczy jak, przedmioty martwe. Pewnie, w obu przypadkach problem ten wygląda w szczegółach odmiennie. Poczucie potęgi, czyli zarozumiałość kieruje się założeniem, że wszystko da się z człowiekiem zrobić, tak jak z rzeczą da się istotnie zrobić wszystko. Można ją stworzyć i unicestwić. Rozpacz z kolei biada, że staliśmy się już jak rzeczy, że nie ma od tego odwrotu, że jakieś tajemne siły robią z nami co chcą. Obie postawy stoją w rezultacie w obliczu bezsensu istnienia ludzkiego. Obie też nie mogą ocalić życia, a więc i jego znaczenia — sensu. Każda z nich zmierza ku beznadziei. Ileż tej beznadziei mieści się w

rozmaitych teoriach, którymi się posługują. Wymieńmy tę najpospolitszą. Głosi ona, że cały rozwój ludzkości daje się opisać jako nieustający proces doskonalenia środków niszczenia, rozmaitych broni, narzędzi wojny. W nauce historycznej nie dostrzega ona nic wartościowego poza tym, co wiąże się z postępem w usprawnianiu instrumentów walki, wojny, wzajemnej agresji i zniszczenia. W zakresie myśli społecznej akcentuje się głównie rozwój organizacji militarnych, ustrojów wojskowych. Stadia rozwojowe dzieli się tu według wynalezienia nowych jakościowo środków zniszczenia. Wszystko co ważne w historii sprowadza się do postępów w uśmiercaniu wszelkiego stworzenia. Cała ta teoria jest jednym wielkim peanem na cześć agresji ludzkiej. Gdy przyjrzeć się jej bliżej, łatwo dostrzec, że jest ona przysycona lekimi przed śmiercią. Brzmi to dość paradoksalnie, ale tak w istocie jest. Ten bowiem gromadzi narzędzia zniszczenia, kto sam chce być ocalony, kto boi się własnej śmierci. Nie dopuszcza do siebie myśli o własnej śmierci, bo ta uświadamia mu własną skończoność, koniec życia. A coż to za potęga, która wcześniej czy później musi doświadczyć kresu. Wybiera się więc rozwiązanie, którego za wszelką cenę chciałoby się uniknąć. Wybiera się środki własnego przetrwania kosztem cudzej śmierci. Innych traktuje się jak rzeczy, które mogą być lub nie, nie uświadamiając sobie, że tym samym siebie samego traktuje się tak samo. Poczucie potęgi ujmuje człowieka jak rzecz, bo rzeczy lubią trwałość. Tak się przynajmniej wydaje człowiekowi zarozumiałemu. Jest to postawa równie żalсна jak beznadna, równie rozpaczliwa jak rozpacz prawdziwa, która przynajmniej nie udaje, że coś w tym świecie jest warte przetrwania.

Żyjemy w świecie codziennie przypominającym o możliwości jednorazowego unicestwienia wszystkich ludzi na raz. Ale żyjemy też w świecie codziennie odnawiającym przekonania o możliwości zrealizowania na tej ziemi prawdziwie ludzkiego sensu. Chrześcijaństwo nie tylko ujawnia taką perspektywę. Ono żywym swym doświadczeniem demaskuje złudne postawy potęgi i oferuje nadzieję tym, którzy popadli w rozpacz. Nie oddala granic bezsensu, ono je przekreśla.

JERZY GRAS

## MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (443)

**K**abiloński, egipski, żydowski, mahometański, słowiański, chiński, indyjski i in. Np. w Egipcie, w którym wykonywano właściwy kalendarz słoneczny, rok dzielił się na 12 miesięcy po 30 dni każdy oraz 5 dni dodanych przy końcu roku: względnie na 3 pory roku, każda po cztery miesiące; dobę dzielili Egipcjanie na 24 godziny. Kalendarz taki obowiązywał w Egipcie aż do 26 r. przed Chr., kiedy wprowadzono tam kalendarz juliański. Natomiast kalendarz mahometański jest kalendarzem księżycowym. Wprowadził go w 632 roku → Mahomet.

Rok ten dzieli się na 12 miesięcy, które w sumie liczą ok. 354 dni i 8 godzin i jest on o ok. 11 dni krótszy od roku zwrotnikowego. Początek dnia nie rozpoczyna się od wschodu słońca, jak jest w roku i kalendarzu słonecznym, a od zachodu słońca, czyli od wschodu księżyca.

Poza wymienionymi kalendarzami, i to głównie w państwach, będących w zasięgu działania kultury rzymskiej, a potem chrześcijaństwa, przyjęły się wprawdzie kalendarz juliański, potem w większości gregoriański, oraz nas tu w MET również szczególnie interesujący kalendarz księżycowy.

Kalendarz juliański wywodzi się od Rzymian. W ich dawnej starożytności posługiwali się oni tzw. naturalną rachubą czasu, a w wyniku i takimże kalendarzem. Kalendarz ten dzielił rok na 10 miesięcy. Ok. 700 r. przed Chr. zaczęli opierać się jednak na tzw. roku księżycowym i podzielić roku na 12 miesięcy. Po dwóch-trzech wiekach wprowadzili znowu zmiany, usiłując ustalić rok naturalny, księżycowy i słoneczny, wprowadzając tzw. lata przestępne. Decydować miał o nich najwyższy kapłan — pontifex maximus (od 191 r. przed Chr.). Wtedy za pierwszy miesiąc roku uznano i przyjęto marzec. Wszelako już od 153 roku przed Chr. ustalono początek nowego roku na 1 stycznia, w tym bowiem dniu wybrany uprzednio konsul uroczyście obejmował swój urząd. Stabilizację jednak w pojmowaniu roku i w konsekwencji kalendarza wprowadził dopiero Juliusz Cezar, od którego

imienna też kalendarz ten został nazwany juliańskim. Oto w 46 roku przed Chr. Juliusz Cezar za urzędowy podział roku przyjął rok słoneczny i w wyniku również kalendarz słoneczny. Według tego kalendarza rok liczyć miał i liczył ok. 365 i 1/4 dnia, około, bo trzy lata miały liczyć po 365 dni, a co czwarty, tzn. przestępny 366 dni (w tym miesiąc luty zamiast 28 dni — 29). Przestępnym miał być i był rok, którego numer czy liczba dzieliła się przez cztery (rok juliański w porównaniu ze zwrotnikowym był dłuższy o ok. 11 minut). I ten kalendarz juliański przyjął się wprawdzie w Cesarstwie rzymskim, potem i w innych państwach, a kiedy przyjął go Kościół chrześcijański, zaczął się też coraz szybciej rozpowszechniać aż doszło do nowej jego reformy, ogłoszonej i wprowadzonej przez pap. Grzegorza XIII w 1582 roku, który to kalendarz z kolei od jego imienia został nazwany kalendarzem gregoriańskim.

Jaka jest geneza tego kalendarza gregoriańskiego? W czym streszcza się jego istota?

Kalendarz juliański był dłuższy od kalendarza zwrotnikowego i stąd tzw. równonoc, która w 325 roku przypadała na 21 marca, a odbywany wtedy sobór nicejski postanowił, aby Wielkanoc była uroczystości obchodzona w pierwszą niedzielę po pełni księżycowej właśnie po tej równonocy, jednak z biegiem lat równonoc przypadała z powodu tej narastającej długości roku na inny dzień. Kiedy to zauważono (już w VIII i w następnych wiekach), postanowiono i ten kalendarz zmienić. Ponieważ od soboru nicejskiego przybyło 10 dni, wobec czego postanowiono je opuścić, i stąd równonoc przypadała znowu na 21 marca, ale 4 października tegoż 1582 roku opuszczono owe 10 dni i za dzień następny uznano 15 października. Żeby zaś w przyszłości uniknąć narastania tak wielkich różnic w długości roku ustalono (sprawa ta była omawiana na dwóch rzymskokatolickich soborach: w Konstancji, w 1414—1418, i w Bazylei, 1431—1445 r.), że należy na przestrzeni czterystu lat opuszczać 3 razy po jednym dniu przestępnym przy końcu tych stuleci.

# CHRZEŚCIIAŃSKIE EMAUS — ZNAKIEM OBECNOŚCI JEZUSA

Ziemskie życie Jezusa Chrystusa miało swój początek i swój kres. Początkiem było Betlejem, a kresem — Góra Oliwna, z której odszedł do Ojca. Wraz z odejściem Jezusa Chrystusa do nieba spotykamy się w chrześcijaństwie z czymś, co jest fascynujące, niezrozumiałe, tajemnicze i trudne do zrozumienia. Tym czymś jest stała obecność Jezusa w Kościele, w świecie, w nas. Czy jest to tylko obecność Jego posłannictwa, które zlecił? Czy jest to tylko obecność Jego wskazań i pouczeń moralnych? Czy jest to tylko obecność wyrażająca się w kontynuacji Jego dzieła przez Kościół? Niewątpliwie tak. Ale wspomniane wyżej elementy nie ujmują w całości tego, co rozumiemy przez rzeczywistą obecność Jezusa Chrystusa. Wprawdzie Jego obecność w posłannictwie, w doktrynie, w Kościele — jest swego rodzaju tajemnicą, która napełnia historię podziwem. Jest także swego rodzaju świadectwem.

**Mówiąc, głosząc i przeżywając obecność Jezusa Chrystusa w świecie, w Kościele, w nas, nie mamy jednak na uwadze tylko i wyłącznie Jego posłannictwa, Jego Kościoła, Jego doktryny czy wskazań.**

Gdy odchodzi z tego świata jakiś człowiek, to trwa po nim miłe wspomnienie wśród bliskich, wśród rodziny, tej najbliższej. Gdy odchodzi człowiek znany szerszemu ogółowi — filozof, aktor, pisarz, malarz — grono tych, którzy go wspominają jest nieco szersze. Można powiedzieć, że taki człowiek jest obecny we wspomnieniach innych. Jest też obecny w słowach, które napisał lub wypowiedział. Jednakże, nawet ludzie genialni, oglądani przez dzieła i naukę, którym stawia się pomniki, o których mówi historia, robią zawsze wrażenie jakiegoś wizerunku wykopaliskowego. Są obecni we wspomnieniach.

Inaczej jest z Jezusem Chrystusem, który pozostawił po sobie nie tylko wspomnienie, dzieło, naukę, doktrynę. **On pozostawił swą obecność.** Rzeczywistość tej obecności potwierdził w słowach: „Jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

Ta rzeczywista, choć tajemnicza obecność Jezusa Chrystusa, każe inaczej nam patrzeć na samo chrześcijaństwo, które tym samym różni się zdecydowanie od takich religii jak choćby buddyzmu czy muzułmanizmu. Bo w świetle obecności Jezusa Chrystusa chrześcijaństwo jawi się jako coś

więcej niż tylko przyjęcie pewnych koncepcji religijnych, filozoficznych, pewnych koncepcji dotyczących Boga i człowieka. **Chrześcijaństwo — to uczestnictwo w Jezusie Chrystusie, to ciągle upodabnianie się ludzkiej istoty do tego wzoru jakim jest Jezus Chrystus, to życie w nas Boga, to nasze życie w Bogu, który stał się Człowiekiem.**

W opowiadaniu o dwóch uczniach zdążających do Emaus znajdujemy bardzo prosty epizod, który dlatego że jest prosty, pełen jest duchowego, tajemniczego bogactwa. Opowiadanie to dotyczy dwóch ludzi, ludzi prostych, szerzej nikomu nieznanym, a więc ludzi takich jakich większość żyje na świecie, jak większość z nas. Nie byli bogatymi, nie byli zbyt uczonymi, nie byli apostołami, nie należeli do uprzywilejowanego grona Dwunastu. Ale teraz **Bóg ich właśnie wybrał.** Dlaczego? Bo byli tacy jak wszyscy niczym specjalnym się nie wyróżniali. Bo byli **zwykłymi, normalnymi ludźmi.** Byli obrazem wszystkich skromnych, może czasami zapomnianych, może czasami odsuwanych, członków chrześcijańskiej społeczności. Bóg wybrał ich również dlatego, że **kochali Jezusa.** Kochali Go, choć może nie w pełni rozumieli Jego posłannictwo, choć zawiedli się na Nim, choć pokładali w Nim swoje ziemskie nadzieje. Jeden nazywał się podobno Kleofas. Drugiego — nie znamy bliżej. Nie wiemy o nich nic więcej. Odchodzili z Jerozolimy smutni. Przeżywali dramat męki i śmierci Jezusa na krzyżu. Wrócili do swych codziennych zajęć. Uważali, że przygoda z Jezusem, za którym chodzili może kilka miesięcy, a może i całe trzy lata, skończyła się i to sromotnie. Szli jednak i rozmawiali... O Nim, o Jego dziełach, o Jego cudach. A żałość napełniała ich serca. I wtedy doszedł do nich właśnie On. A serca ich zaczęły pałać i bić żywiej, choć Go jeszcze nie poznali, choć nie wiedzieli, że On jest przy nich i w nich. **Pałanie serca — było znakiem Jego obecności.** I tak już będzie przez całą historię chrześcijaństwa, historię Kościoła i życia każdego chrześcijanina. Od tej pory serca chrześcijańskie będą pałać, będą przeżywać obecność wśród siebie i w sobie Jezusa Chrystusa. I to pałanie

(dokończenie na str. 11)

## MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (444)

które w swej sumie nie dzielą się przez 400, dzielące się zaś przez tę liczbę są latami przestępnymi, np. rok 2000. I tak różnica między rokiem gregoriańskim a zwrotnikowym została zredukowana do 26 sekund (po ponad 3000 lat wyniesie ona 1 dzień). Tę nową rachubę obliczania czasu i ustalania kalendarza nazwano nowym stylem, starym zaś stylem nazwano dotychczasowy kalendarz juliański. Kalendarz gregoriański, czyli nowy styl, został kolejno przyjęty i zaprowadzony (15.X.1582 r.) we Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Polsce, we Francji od 20.XII.1582 roku, od 1584 r. w Austrii, od 1610 w Prusach, od 1700 r. w Niemczech (protest.), od 1752 r. w Anglii, od 1918 r. w ZSRR. Przyjęło go również wiele innych państw. Jednak w dalszym ciągu kalendarz juliański, czyli stary styl, zachowało u siebie, z małymi wyjątkami, prawosławie, również jako swój kalendarz kościelny, religijny; między tym starym stylem a nowym różnica urosła już do 13 dni. Od wielu lat znowu trwają prace i zabiegi nad dokonaniem nowej reformy i wprowadzeniem jednolitego dla całego świata kalendarza.

Obok innych jeszcze kalendarzy był jakiś czas w użyciu np. we Francji kalendarz rewolucyjny francuski (z 1793 roku) rok pierwszy nowej ery zaczynał się od 22.IX.1792 roku); dalej istnieje też tzw. kalendarz wieczny, oraz kalendarz kościelny, o którym trzeba tu parę zdań napisać.

Kalendarz kościelny łączy jak gdyby dwa systemy: system słoneczny i księżycowy. Według systemu słonecznego oblicza się długość roku, natomiast najważniejsze w Kościele chrześcijańskim święta, święto Wielkanocy, czyli Zmartwychwstania Pańskiego i w zależności od niego inne święta oblicza się według systemu księżycowego. Przyjmuje się w tym kalendarzu stałe daty szeregu świąt roku liturgicznego i imion świętych i błogosławionych, oraz święta ruchome, jak właśnie Wielkanoc i inne od niej uzależnione święta. Termin Wielkanocy ustala się na pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca, która przypada zależnie od roku między 22 marca a 25 kwietnia. Rok → liturgiczny zaczyna się — Adwentem, który poprzedza okres Bożego Narodzenia

(wigilia 24 grudnia, I święto — Boże Narodzenie 25 grudnia), po nim następuje najważniejszy okres, okres Wielkanocy, a następnie okres Zielonych Świąt, czyli Zesłania Ducha św. Poszczególne okresy dzielą się na święta, niedziele i dni powszednie, dla których specjalny kalendarz, czyli przewodnik liturgiczny, zatwierdzany przez nadrzędną Władzę Duchowną w danym Kościele, ustala własną liturgię, zwłaszcza mszalną, zawartą w zaaprobowanym przez tę Władzę → mszale (→ miesiąc — 28—31 dni, rok = 12 miesięcy).

**Kalendy** — (łac.) — to nazwa w → kalendarzu juliańskim (rzymskim) pierwszego dnia miesiąca.

**Kalif** albo chalif — (arab. khalifa = namiestnik, następca) — to zrazu miano, tytuł, następców → Mahometa, dzierżących jednocześnie i wykonujących najwyższą władzę duchowną i świecką nad wyznawcami Mahometa, czyli muzułmanami. Kiedy jednak i w mahometanizmie, czyli → islamie doszło do podziału zmieniło się też pojmowanie zakresu władzy kalifa. Np. — szyci władze kalifa podzielili, przyznając mu prawo jedynie do władzy świeckiej, najwyższą władzą duchowną obdarzając → imama. Obszar wykonywania władzy kalifa zwał się kalifatem; w przeszłości miał on różne stolicę. Od 1517 r. tytuł kalifa przyznali sobie zwycięzcy Egiptu i Arabii sułtanowie tureccy. Kalifat zaś, przechodzący w minionych wiekach, różne koleje i losy, w 1922 roku został anulowany przez powstałą wtedy Republikę Turecką. Były następnie próby jego reaktywowania, ale dotąd nie powstał jeden dla wszystkich muzułmanów kalifat.

**Kaliks II** — (nazw. Gui de Vienne; ur. ok. 1060; papieżem od 1119; zm. 1124) — znany m.in. głównie z tego, że podpisał 23.IX.1122 z ces. Henrykiem V konkordat w Wormacji i w ten sposób zakończył długo trwającą polemikę, a nawet spory i konflikty o świecką → inwestyturę duchowieństwa.

**Kaliskytyni** — → Utrakwiści.

# Bóg zapłać za ofiary na budowę kościoła w Częstochowie

Staropolskim, chrześcijańskim obyczajem, proboszcz, Rada Parafialna i Wierni parafii w Częstochowie, składają serdeczne Bóg zapłać wszystkim, którzy złożyli ofiarę na budowę kościoła. W pierwszym rzędzie wyrażamy naszą wdzięczność zwierzchnikowi Kościoła Polskokatolickiego biskupowi Tadeuszowi R. Majewskiemu za trud w uzyskaniu zezwolenia, a także za ofiarę pieniężną, którą jako pierwszy przekazał w dniu swoich imienin, rezygnując z imieninowych kwiatów i prezentów.

Składam serdeczne Bóg zapłać Radom Parafialnym, Towarzystwom Niewiast Adoracji Najśw. Sakramentu i osobom prywatnym, które na apel Zwierznika Kościoła „Złóż ofiarę na budowę kościoła w Częstochowie” odpowiedziały czynnie. Sprawa budowy kościoła w Częstochowie, jak twierdzi w swoich oficjalnych wypowiedziach biskup Tadeusz R. Majewski, jest sprawą całej polskokatolickiej społeczności w Polsce, a także naszych współwyznawców w USA i Kanadzie. Liczymy na dalsze ofiary ze strony wszystkich naszych parafii w Polsce.

Modlić się będziemy także za innych ofiarodawców. Nie budujemy kościoła własnej chwały, lecz chcemy wznieść Dom Boży, który będzie głosił chwałę Imieniu Bożemu.

Przed dwudziestoma laty w środowisku częstochowskim została erygowana parafia polskokatolicka pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Apostołów. W czasie dwudziestolecia istnienia wspólnoty parafialnej były różne chwile. Więcej niewątpliwie było trudności i boleści, ale zawsze w tych ciężkich chwilach odczuwaliśmy opiekę Matki Bożej. Zaufaliśmy Tej, która światu dała Zbawienie i nie zostaliśmy zawiedzeni. Gorąca wiara i prawda, której służymy, z optymizmem pozwalają patrzeć nam w przyszłość. W nowej świątyni chcemy realizować ducha ekumenicznego. Modlić się będziemy o jedność Kościoła i innych do tej jedności zapraszać w duchu miłości i tolerancji.

Pragniemy, aby świątynia, którą wzniesiemy, była oazą dla wszystkich naszych braci i siostr z bratniego Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego z USA i Kanady, którzy z każdym rokiem coraz liczniej odwiedzają Kraj Ojców. Wraz z nimi modlić się będziemy o pomyślność i pokój dla ich i naszej Ojczyzny. Nasza świątynia będzie ich świątynią, a nasze domy ich domem. Z ambony Domu Pańskiego, jak dotąd we wszystkich naszych kościołach, głosić będziemy miłość do Boga i ludzi.

Częstochowa, dnia 1 marca 1980 r.

✚ Biskup Jerzy Szotmiller  
Proboszcz Parafii Polskokatolickiej  
w Częstochowie

## POTRZEBA

## KSIĘŻY

## I KANDYDATÓW

## DO STANU

## DUCHOWNEGO



Rada Synodalna Kościoła Polskokatolickiego przyjmie kandydatów i alumnów pragnących pracować w szeregach naszego Kościoła w Polsce, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Brazylii. Studia odbyte w uczelniach teologicznych lub seminariach duchownych zostaną zaliczone na poczet wykształcenia niezbędnego dla każdego kapłana katolickiego.

Zgłoszenia z podaniem, życiorysem, świadectwem studiów oraz ze zdjęciem należy kierować pod adresem:

Prezydium Rady Synodalnej  
Kościoła Polskokatolickiego w PRL  
ul. Wilcza 31  
00-544 Warszawa

Młodzieńcy po maturze oraz alumni, którzy nie ukończyli studiów teologicznych, będą mogli odbyć studia i uzyskać stopień magistra teologii w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Chrześcijańska Akademia Teologiczna kształci kandydatów na duchownych i pracowników kościelnych wszystkich Kościołów chrześcijańskich, które jej powierzą swoją młodzież, tak w wiedzy teologicznej, jak i w wyrobieniu społecznym i obywatelskim.

Kandydaci na studia powinni złożyć następujące dokumenty:

- 1) Podanie o przyjęcie,
- 2) Świadectwo dojrzałości,
- 3) Metrykę urodzenia (lub wypis z dowodu osobistego),
- 4) Kartę kandydata na I rok studiów (formularzy dostarcza szkoła),
- 5) Zaświadczenie o stosunku do służby wojskowej,
- 6) Kartę zdrowia kandydata (wystawia lekarz rejonowy),
- 7) 4 fotografie o rozm. 37×52 mm.

W wypadku ubiegania się o pomoc stypendialną — według norm obowiązujących młodzież studiującą we wszystkich wyższych uczelniach w PRL — należy złożyć:

- a) podanie o przyznanie pomocy materialnej,
- b) zaświadczenie o stanie rodzinnym,
- c) zaświadczenie o zarobkach członków rodziny za 12 miesięcy,
- d) zaświadczenie urzędu gminnego o dochodzie z gospodarki rolnej dla celów stypendialnych.

O swoim zamiarze poświęcenia się studiom teologicznym w ChAT kandydaci powinni powiadomić swojego duszpastora, ten zaś swoją władzę kościelną, która odpowiednim pismem polecającym typuje kandydata na studia. Szczegółowych informacji o studiach udziela Rektorat ChAT w Warszawie, ul. Miodowa 21, 00-246 Warszawa.

# DZIESIĘĆ WIEKÓW LUBLINA

Idąc starymi uliczkami Lublina...



Wspaniały lubelski zamek sięgający swą historią daleko w przeszłość (XIV w.)



# K

ażdy, kto choć raz trafił do Lublina, był z pewnością urzeczony jego urodą i historią zamkniętą w bryłach kamienia i zamku.

Lublin był początkowo grodem obronnym, założonym najprawdopodobniej w wieku X. Już w XII wieku stał się ważnym ośrodkiem administracyjnym, gospodarczym i obronnym. Miasto leżało na skrzyżowaniu dróg handlowych wiodących ze wschodu na zachód, co miało decydujący wpływ na jego rozkwit i bogacenie się. Pomyślny rozwój Lublina zakłóciły w wieku XII liczne najazdy Tatarów i Litwinów. W roku 1317 król Władysław Łokietek nadał miastu przywilej lokacyjny, w późniejszym okresie król Kazimierz Wielki wznosił w Lublinie gotycki zamek, mury miejskie, ratusz i ufundował najcenniejsze zabytki sakralne, gotycki kościół pw. św. Trójcy na zamku i kościół Dominikanów.

W wieku XIV Lublin stał się narazony na różnego typu agresywne najazdy, które dokonały ogromnych zniszczeń w jego zabudowie. Wkrótce miasto dzwignęło się z ruin. W wiekach XV i XVI Lublin stał się znowu prężnym ośrodkiem gospodarczym i kulturalnym.

W historii Lublina zapisali się szczególnie: Biernat z Lublina — autor pierwszej książki napisanej po polsku, Jan Kochanowski — wybitny polski poeta, a także Szymon Klonowic — pisarz humanista, który w swych utworach atakował niejednokrotnie pychę możnych. Z dawnych czasów zachowało się szereg kamieniczek, spośród których na szczególną uwagę zasługują: kamienica Szymona Klonowicza (XVI w.), kamienica Lubomelskich i późnorennesansowa kamienica Konopniców. Wśród pałaców Lublina szczególnie cenne są: Pałac Radziwiłłów (dziś mieści się tam wydział prawa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej), Sobieskich (obecnie Rektorat Politechniki Lubelskiej), Tarłów (dziś Dom Kultury), Czartoryskich (obecnie Towarzystwo Naukowe), a także pałace Sapichów i Połockich.





Panorama lubelskiej Starówki urzeka swą malowniczością

Upadek miasta w wieku XVII spowodowały pożary, wojny i wielkie epidemie. Poważne straty materialne poniósł Lublin podczas konfederacji barskiej w roku 1768. W połowie wieku XVI w mieście wybudowano wiele cennych barokowych budowli, m.in.: kościół jezuitów i kilka klasztorów. W odbudowie miasta poważną rolę odegrała założona w roku 1789 Komisja Dobrego Porządku, która podjęła intensywne prace gospodarcze.

Pod koniec XIX wieku rozwinął się w Lublinie przemysł. Powstały wówczas m.in. takie zakłady przemysłowe, jak: fabryka maszyn rolniczych, fabryka wag, młyny, browar, garbarnie, fabryka kotłów. Zmianom gospodarczym i społecznym, jakie dokonywały się na początku wieku XX towarzyszył rozwój kulturalny miasta. Powstał w tym czasie teatr i Lubelskie Towarzystwo Literacko-Naukowe. W okresie międzywojennym powstały także trzy uczelnie religijne o statusie akademickim.

Podczas II wojny światowej miasto uległo bardzo poważnym zniszczeniom. Ale miasto nie umarło. To właśnie Lublin w dniu 22 lipca 1944 roku ogłoszono stolicą Polski. Dzisiaj miasto to jest 300-tysięcznym wielkim ośrodkiem przemysłowym i kulturalnym kraju. Centrum nauki w Lublinie jest Uniwersytet im. Marii Skłodowskiej-Curie. Pracownicy naukowcy tej uczelni utrzymują stały kontakt z wieloma placówkami badawczymi świata. Na ulicach miasta spotkać można wielu młodych ludzi, którzy tu się urodzili i wychowali, i którzy głęboko są związani z życiem Lublina.

ANNA LASKOWSKA



## MODLITW...

Turcja, Grecja i Cypr

Kto czytał Dzieje Apostolskie i listy Nowego Testamentu, kto śledzi na mapie trzy podróże misyjne apostoła Pawła lub nawet powtarza je za pomocą nowoczesnych środków komunikacji, ten ma do czynienia z terenami, które należą do najstarszych obszarów misyjnych Kościoła chrześcijańskiego, a jednocześnie stanowią obszar o największych współczesnych napięciach politycznych.

Stambuł, dawny Konstantynopol lub Bizancjum, od roku 1330 do zdobycia przez Turków w 1453 r. stolicy Cesarstwa Wschodniorzymskiego i późniejszego Cesarstwa Bizantyjskiego, był obok Rzymu największym ośrodkiem wiary chrześcijańskiej i centrum Kościoła Prawosławnego. Stąd szła cała misja na północ i wschód, na Bałkany i Ruś Kijowską oraz na Bliski Wschód. Nazwy miast Nicei i Chalcedonu służą do określenia wyznań wiary pierwotnego Kościoła, które do dzisiaj, mimo istnienia innych różnic, jedną są chrześcijan całego świata. Słynni teologowie od najstarszych czasów wywodzili się z prawosławia greckiego; wywarli oni przeźmożny wpływ na teologię, liturgię, mistykę i życie zakonne Kościoła.

Wszyscy chrześcijanie prawosławni uznają honorowy prymat Patriarchatu Ekumenicznego Konstantynopola. W Turcji (ogólna liczba ludności: ok. 49 milionów) żyje jednak tylko 12 000 prawosławnych. Jednakże Patriarchat sprawuje najwyższą władzę duchowną nad wszystkimi prawosławnymi Grekami poza Grecją. Poza tym w Turcji żyją jeszcze małe grupy chrześcijan syryjskich i armeńskich oraz nieliczne skupiska rzymskokatolików i protestantów. Po okresie liberalizacji, związanym z rewolucją turecką z 1923 r., obserwuje się od paru lat znowu wzmoczenie nawrót do islamu. Dla uniknięcia związanych z tym ograniczeń w sprawowaniu kultu religijnego i w życiu codziennym, wielu prawosławnych Greków przenosi się do Europy Zachodniej, a wielu chrześcijan syryjskich i armeńskich — z Turcji wschodniej do zachodniej. W ten sposób ogólna liczba chrześcijan w Turcji uległa poważnemu zmniejszeniu.

Grecja, od upadku Cesarstwa Bizantyjskiego aż do powstania w 1821 r., znajdowała się pod panowaniem tureckim. W okresie tym zwierzchnik Kościoła Prawosławnego Grecji reprezentował często polityczne interesy narodu wobec władców. Chociaż Grecki Kościół Prawosławny uchodzi za religię państwową, mniejsze Kościoły kraju cieszą się wolnością religijną. Kościół i państwo uważają się za równoprawnych partnerów, konstytucja kraju nie zna rozdziału Kościoła od państwa. Przy ogólnej liczbie ludności, wynoszącej

9,3 miliona, Kościół Prawosławny ma około 7,6 miliona członków. Poza tym żyje w Grecji około 40 tysięcy rzymskokatolików. Niewielki Grecki Kościół Ewangelicki ma 15 tysięcy członków.

Kościół Cypru, założony bezpośrednio przez apostoła Pawła i Barnabę podczas ich pierwszej podróży misyjnej, przechodził zmienne koleje losu; Cyprzem władali kolejno: Rzymianie, Bizantyjczycy, Arabowie, krzyżowcy, templariusze, Wenecjanie, Turcy i Brytyjczycy. Wyspa uzyskała niepodległość w 1959 r. Szczególnie charakterystyczna była tutaj pozycja zwierzchnika kościelnego, który był zarazem politycznym przywódcą ludu, tzw. etnarchą (np. w latach 1959—1977 Makarios sprawował funkcję arcybiskupa i jednocześnie prezydenta Cypru). Przyczyną poważnych napięć stał się przymusowy podział wyspy między greckich i tureckich Cypryjczyków (jest ich ogółem około 700 tysięcy). Kościół Prawosławny Cypru, który dzieli się na sześć diecezji, ma około 170 tysięcy członków. Na wyspie żyje też spora grupa rzymskokatolików, 4000 chrześcijan armeńskich i około tysiąca protestantów.

Dokonujące się na przestrzeni stuleci oziębienie stosunków między chrześcijaństwem greckim i łacińskim (schizma z 1054 r.; nieudana próba unijna z lat 1438/39), spowodowane między innymi wrogą postawą chrześcijan zachodnich wobec prawosławnych podczas wojen krzyżowych i pracą protestancką wśród prawosławnych (od XIX stulecia), doprowadziło do powstania głębokiej nieufności (zarzut prozelityzmu), którą przezwycięża się dopiero w ramach współczesnego ruchu ekumenicznego. Prawosławni dali temu ruchowi decydujące impulsy (orędzie Patriarchatu Ekumenicznego z 1920 r. do wszystkich Kościołów Chrystusa; współpraca greckich teologów prawosławnych w charakterze pionierów myśli ekumenicznej). Wszystkie Kościoły prawosławne języka greckiego są członkami Światowej Rady Kościołów oraz regionalnych i krajowych organizacji ekumenicznych.

### LISTA KOŚCIOŁÓW

Grecki Kościół Ewangelicki  
 Kościół Cypru (prawosławny)  
 Kościół Grecji (prawosławny)  
 Kościół Rzymskokatolicki Grecji, Cypru i Turcji  
 Patriarchat Ekumeniczny Konstantynopola  
 Wolne Zbory Ewangelickie w Grecji

Do naszej modlitwy dołączamy też rady ekumeniczne i wspólnoty robocze na płaszczyźnie lokalnej i krajowej.

Wspominamy również wszystkie ruchy i społeczności chrześcijańskie, które zwiastują Jezusa Chrystusa i służą Mu.

### PODZIĘKOWANIE I MODLITWA

Dziękujemy Bogu

za wszystkich męczenników, świętych i nauczycieli kościelnych wschodniego chrześcijaństwa;

za ich przykład, mądrość, misyjną gorliwość i cierpliwość.

Prosimy Boga

za duchownych i wiernych Kościołów w Turcji, Grecji i na Cyprze;

o jedność Kościołów prawosławnych i pomyślny przebieg przygotowań do Soboru Ogólnoprawosławnego;

o trwałą pokój między Grecją i Turcją;

o pokojowe rozwiązanie problemu Cypru;

o wzrost zrozumienia między członkami różnych tradycji i stałe postępy w ekumenicznej współpracy Kościołów.



### MODLITWA Z LITURGII ŚW. CHRYZOSTOMA

*Panie, który błogosławisz tych, którzy błogosławiają Ciebie, i uświęcasz tych, którzy pokładają ufność w Tobie: uratuj lud i pobłogosław Twoje dziedzictwo. Chroń pełnię Twego Kościoła. Uświęć wszystkich, którzy miłują piękno Twego domu. Niech za to, przez Twoją boską moc, spłynie na nich Twoja chwała, i nie opuść nas, którzy w Tobie pokładamy nadzieję. Daj pokój światu, Kościołom, kapłanom, krajowi i całemu ludowi. Gdyż każdy dobry dar pochodzi z góry i pochodzi od Ciebie, Ojca Światłości. Tobie też oddajemy chwałę, podziękowanie i uwielbienie, Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen.*

Wypełnij czytelnie i wyślij pod adresem:

**ZAKŁAD WYDAWNICZY  
 „ODRODZENIE”  
 ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa**

Proszę o przysłanie mi za zaliczeniem pocztowym ..... egz. (cena 1 egz. — 25 zł) książki ks. W. Wysoczańskiego o Kościele Polskokatolickim pt.:

**„Polski nurt Starokatolicyzmu”**

Nazwisko i imię:  
 Ulica, nr domu lub wieś:  
 kod i nazwa poczty:

# Stanowisko wobec prof. Hansa Künga

## Starokatolickie rozważania nt. „Sprawy Künga”

1. „Sprawa Künga” i inne przypadki w Kościele Rzymskokatolickim zwróciły w ostatnich tygodniach uwagę innych Kościołów ekumenii i wywołały pytania również w naszym Kościele Starokatolickim. Istnieje wszak związek zakazu nauczania zastosowanego wobec profesora z Tybingi (jak i jednocześnie wszczęcia postępowania wobec innych teologów) z nowym zaakcentowaniem i podkreśleniem tych zasad, które uchwalił I Sobór Watykański przez 110 laty, iż „papież jest nieomylny w sprawach wiary i w ustalaniu porządku życia chrześcijańskiego i to sam z siebie, a nie na podstawie akceptacji Kościoła”. Poza tym posiada papież najwyższą władzę orzekającą w Kościele. Przeciw takiemu zasadniczo nie podlegającemu krytyce rozumieniu służby Piotrowej, którego nie zna ani Ewangelia, ani starożytny Kościół, zaprotestowali zgodnie ze swym sumieniem ojcowie starokatolicy. To doprowadziło potem do ich wyłączenia z Kościoła katolickiego, co uznali oni za sprzeczne z prawem. W następstwie tego faktu utworzyli własne parafie i biskupstwa niezależne od władzy Rzymu.

W sto lat później na podstawie poważnych teologicznych rozważań i jako konsekwencja nowego trendu zapoczątkowanego przez papieża Jana XXIII i II Sobór Watykański — „nastąpił rozwój wydarzeń w kierunku koncyliarnej wspólnoty wszystkich Kościołów i zjawiała się nadzieja, że będzie to wspólnota, w której służba Piotrowa prymasów przybierze nowy kształt”.

Tak napisali biskupi starokatolicy Unii Utrechckiej dnia 29.6.1970. Dzisiaj po dziesięciu latach znów stały się aktualne słowa o aspiracjach „urzędu jedności”. Stwierdzają one: „W tej mierze jednak, w jakiej te aspiracje (ku jedności koncyliarnej) nie zostały zaspokojone, doszło w Kościele nie tylko do rozłamu, lecz również do jednostronnie prawnego rozumienia prymatu, które ze szkodą dla podstawowych zadań służby i ze szkodą dla ekumenicznej jedności zostało ustalone na I Soborze Watykańskim. Poważnych szkód wyrządzonych przez autorytatywny sposób myślenia powołujący się na I Sobór Watykański „nie można nadal przezwyciężyć”.

Do otwartej i ekumenicznej katolickości, która od stu lat była reprezentowana przez starokatolików, usiłowano w sposób obiecujący nawiązać na licznych posiedzeniach II Soboru Watykańskiego, na krajowych synodach rzymskokatolickich, które potem nastąpiły. Wydawało się, że będzie możliwe, by nawet przeciwstawne stanowiska były w sposób otwarty i braterski reprezentowane. Lokalnie też ułożyły się szczerze i braterskie stosunki. Długie i gruntowne rozmowy doprowadziły nawet do rzymskokatolicko-starokatolickich uzgodnień duszpasterskich, lecz te nie uzyskały zatwierdzenia Rzymu, chociaż były przyjęte przez konferencje biskupów obu stron. Czy więc postęp na drodze ekumenizmu, ponowne zjednoczenie chrześcijan byłoby możliwe z obecnego punktu widzenia Rzymu tylko za cenę dogmatu papieskiego z roku 1870? Czy nikt, kto kwestionuje te dogmaty nie może nazywać się „katolikiem”? Oczekiwanie Rzymu nie godzi tylko w Hansa Künga, lecz w katolicką świadomość własną szerokich kół nierzymskich chrześcijan.

2. Dziś chodzi znów o wolność teologii. Niezachwiane trwanie przy odziedziczonych wartościach wiary nie zwalnia nas od zadania, by „dogmatyczne postanowienia dawnego Kościoła na nowo przemyśleć i zastosować je do naszych czasów przy pomocy nowszych badań (bp Urs Küry „Kościół Starokatolicki”, Stuttgart 1978, 2, s. 127). Monachijski ekumenista Heinrich Fries, wieloletni członek rzymskokatolicko-starokatolickiej komisji rozmów, słusznie zauważa: „Otwarte, niewygodne i krytyczne pytania, które Küng stawia — na pewno nieraz agresywne i penetrujące — nie są przez niego wymalowane, on tylko nazywa istniejące problemy po imieniu. Jest on również bezsprzecznie słusznego zdania, że problemów nie da się rozwiązać przez milczenie i zakazy (Süddeutsche Zeitung” z 24.12.1979).

Oczywiście wypowiedzi dotyczące wiary w Jezusa Chrystusa, oraz dotyczące Eucharystii czy Kościoła muszą być przez teologię „rozważone i wyłożone, ale nie mogą być krytycznie oddalone” (Hans Urs von Balthazar „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z 22.12.1979).

Z drugiej strony już Ignacy von Dollinger podkreślił w roku 1863, że tylko wykroczenia wobec jasnej, powszechnej nauki Kościoła powinny podlegać naganie i być wycofane, a nie tezy, które wydają się być tylko w konsekwencjach sprzeczne z nauką kościelną. W tym ostatnim wypadku pomocą może być jedynie dalsza teologiczna dyskusja: „Wobec błędów i uchybień naukowych można stosować jedynie takie same (naukowe) metody. Kto postępuje inaczej, wyrządza szkodę teologii i Kościołowi, który nie może zrezygnować z życiodajnej i kształcącej teologii. Fakt zaś, iż w niej droga do prawdy wiedzie przez błędy, jest prawem, które sprawdzi się w przyszłości tak, jak sprawdziło się w przeszłości (Mowa na zgromadzeniu katolickich uczonych w Monachium u św. Bonifacego 29.9.1863). Jasne jest pytanie, co wierze szkodzi więcej czy trwanie przy dogmatycznych formułach, które się ciągle powtarza, czy odwaga i trud nowych teologicznych wypowiedzi.

Naukowa teologia musi oczywiście być związana z życiem wiary Kościoła i jego parafii, a także służyć jemu. Wie ona jednak także, że Chrystusowa tajemnica wiary, która musi być ciągle na nowo zwiastowana, znajduje swe najwspanialsze ujście w nabożeństwie parafii. Dlatego współczesnym biblijnym kierunkom działalności teologicznej towarzyszy odnowa pastoralno-liturgicznej odnowy.

3. Nasze starokatolickie parafie czują się w obowiązku wskutek ostatnich wydarzeń rozumieć wezwanie roku misyjnego 1980 w szczególny sposób.



Należy żyć w tym czasie niesfałszowaną wiarą i nieograniczoną wolnością starego Kościoła i w sposób zaangażowany wyraźnie dokumentować, jak wyglądają katolickie Kościoły i ich parafie, w których wszystko to jest możliwe, czego wielu naszych rzymskokatolickich przyjaciół się spodziewało po II Soborze Watykańskim, jako jego konsekwencji. A mianowicie: Pełna synodalna współodpowiedzialność laików obejmująca wybór biskupa i proboszcza, planowanie rodziny na podstawie decyzji sumienia, zgoda na małżeństwo kapłanów, rodzinne życie parafii, ekumeniczna otwartość sięgająca aż do gotowości eucharystycznej gościnności, odrzucenie stosowania przymusu w sprawach wiary, braterska wyrozumiałość i przeciwstawienie argumentów, gdy zaistnieją różnice zdań.

Nie byłibyśmy wierni wobec samych siebie, gdybyśmy sami zaniedbywali realizację tych zadań. Napomnienie, by powrócić do „pierwszej miłości”, bo będzie poruszony świecznik ze swego miejsca (Ap 2, 4, 15), nie dotyczy tylko czasów apostołskich.

Byłoby pożałowania godne, gdyby obecnie niektórzy chrześcijanie, może na podstawie powierzchownej, ograniczającej się do sloganów znajomości biegu spraw, zamknęli się w sobie, skazali się na wewnętrzną emigrację, wyłączyli ze swego horyzontu to, co im się nie podoba, albo gdyby w gniewie i rozgoryczeniu odwrócili się w ogóle od Kościoła jako całości. Jeśli ten czy ów katolik, któremu trudno pogodzić się z nieomylnością papieża jako samo przez się zrozumiałą, poszuka nowej ojczyzny duchowej w naszym Kościele Starokatolickim, to nie powinniśmy mu tego bronić, powodując się fałszywie rozumianymi względami ekumenicznymi. Taki krok — to zrozumieją również autorytety rzymskokatolickie — jest na pewno bardziej uczciwy, niż gdy ktoś nazywa siebie bardziej wargami niż sercem „rzymskim” katolikiem.

Nie chcemy wrogich zaczepek. Pragniemy braterskiej rozmowy. Chcemy jedności!

Naszą nadzieją pozostaje to, że Duch Boży pozwoli nam znaleźć sposób przezwyciężenia obecnego kryzysu i wkrótce doprowadzi nas w pojednanej różnorodności do na nowo zjednoczonego chrześcijaństwa, którego pragnie założyciel Kościoła i które zapowiedział, a które „z coraz bardziej wzmagającą się tęsknotą, jest oczekiwane i o które się błaga nie tylko w Niemczech. Oby Bóg to zdarzył!” (Ignacy von Dollinger — Orędzie monachijskie, Czerwiec 1871)

† Biskup Josef Brinkhues  
i Kolegium Docentów Biskupstwa Starokatolickiego  
w RFN

(dokończenie ze str. 6)

skłoni męczenników do oddania życia za Niego. Ono podsycało i podtrzymywało wiarę chrześcijan, a serca w ich żarliwości i gorliwości. Ono jest i naszym udziałem, kiedy słuchając Jego nauki, Słowa Bożego, kiedy przyjmując Go w sakramencie Eucharystii czujemy, że oto jesteśmy silniejsi w wierze, gorliwsi w działaniu na rzecz Kościoła, czujemy, że On jest obecny wśród nas i w nas.

Jezus Chrystus jest zawsze obecnym w świecie. Zawsze realizuje słowa: „Oto Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”. Zawsze wpisuję się w serce historii wieków, w historię Kościoła, w historię każdego z nas.

Nasze chrześcijańskie życie, chrześcijańskie posłannictwo, nasza obecność — nie tylko przynależność — w Kościele, jest ustawiczną drogą do Emaus. Na tej drodze mamy spotykać Jezusa Chrystusa, spotykać się z Jego obecnością. Kościół i nasza w nim obecność — to ustawiczne chrześcijańskie Emaus, przeżywanie tej bezspornej, choć tajemniczej rzeczywistości, jaką jest Jego obecność.

Przeżywajmy, doświadczajmy więc obecności Jego wśród nas, a serca nasze niech palają w nas tak, jak paliły u tych dwóch uczniów podążających do Emaus.

KS. TOMASZ WÓJTOWICZ

# CZŁOWIEK PRZYSZŁOŚCI



jednym z ubiegłorocznych nume-

row „Przekroju” drukowane były fragmenty książki radzieckiego pisarza Aleksandra Gorbowskiego. Pragniemy zainteresować Czytelników ciekawym tematem: przyszłości człowieka roku 2000.

Medycyna to najbardziej humanitarna ze wszystkich nauk, lekarz — najbardziej ludzki ze wszystkich zawodów. Ostatnio słyszy się jednak coraz częściej, że wymiar ludzkich nieszczęść i cierpień wzrasta — choć brzmi to paradoksalnie — właśnie za sprawą medycyny, ponieważ nieuleczalne dotąd choroby i obciążenia dziedziczne w wielu wypadkach przestały zabijać. Niektórzy badacze piszą o lawinopodobnym nagromadzeniu się rozmaitych obciążeń dziedzicznych, o groźbie degeneracji ludzkości itp.

Nie wszyscy jednak podzielają te obawy twierdząc, że niepokój o przyszłość genetyczną ludzkości ma w sobie obecnie sporo przesady. Na naszą korzyść działa zarówno samoczynny zanik niepożądanych mutacji, jak i częstsze połączenia genetyczne odizolowanych dotąd grup. Specjaliści sądzą, że w ciągu najbliższych tysięcy wymieszanie populacji odbije się na ludzkości bardzo korzystnie. Mimo to na człowieka przyszłości czyha cały szereg innych niespodzianek — przede wszystkim takich, które mogą okazać się niebezpieczne za jego sprawą.

Zdaniem ekspertów, już w 1985 r. zacznie się masowo stosować środki farmakologiczne, wpływające na zmianę osobowości. Mniej więcej w roku 2000 pojawi się możliwość kontrolowania wad dziedzicznych i sterowania genetyką na poziomie molekularnym. Możliwość tworzenia nowych mutacji otworzy przed ludzkością wręcz fantastyczne perspektywy. Ale nad horyzontem przyszłości już dziś zaczynają gromadzić się czarne chmury. W chwili, gdy rozpocznie się proces tworzenia nowych mutacji — bardzo trudno będzie go powstrzymać. Ludzkość nie oprze się pokusie udoskonalenia gatunku, co może doprowadzić do degeneracji, do zatraty ludzkich wartości.

W 1932 r. Aldous Huxley pisał o społeczeństwie, w którym dzieci będą hodowane w probówkach, poza organizmem matki. Dzieciom tym zostaną wszczepione zdolności i upodobania potrzebne społeczeństwu, a więc ci, którzy mają zostać np. ogrodnikami, zostaną nimi i będą szczęśliwi; przyszedli bibliotekarze lub konstruktorzy będą od dzieciństwa marzyć wyłącznie o książkach lub przyborach kreślarskich, itp., Huxley przepowiadał nadejście takiej epoki za 600 lat. Pomylił się jednak: sprawa „dzieci z probówek” już dziś zaczyna przybierać realne kształty. W społeczeństwie, o którym pisał Huxley, niebagatelną rolę miały odgrywać preparaty zwane „somą”, gwarantujące ludziom trwałe zadowolenie z życia, brak wszelkich przejawów protestu społecznego. Ale czy mógł przypuszczać, że jego wizje znajdą tak szybko urzeczywistnienie? Głośno już jest o eksperymentach ze zwierzętami, którym wszczepia się do mózgu elektrody regulujące nastroj i równowagę psychiczną. Owe doświadczenia z elektrodami wypróbowano również na ludziach cierpiących na zaburzenia psychiczne. Przy pomocy impulsów elektrycznych udaje się kierować zachowaniem pacjentów. Niektórzy badacze amerykańscy twierdzą, że z upływem czasu takie elektrody będą wszczepiane wszystkim ludziom bez wyjątku. Kto wie, powiadają oni, czy w ciągu najbliższych dziesięcioleci wszczepianie elektrod noworodkom nie stanie się w USA zabiegiem równie masowym, jak usuwanie wyrostka robaczkowego.

Nie musimy chyba przypominać, że każde odkrycie może być realizowane zarówno z korzyścią, jak i ze szkodą dla człowieka. Wszczepiane w mózg elektrody mogą być pomocne w walce z groźnymi chorobami, ale mogą także odegrać rolę decydującą w procesie, którego skutkiem jest wręcz pogwałcenie osobowości.

Na dnie oceanu, na powierzchni innych planet Układu Słonecznego instaluje się już dziś superprecyzyjne drogie urządzenia. Ale ani gleby obcych planet, ani gruntu oceanicznego dna nigdy nie dotknęła ludzka stopa. Organizm człowieka nie może funkcjonować w warunkach wysokiego ciśnienia, w próżni, w ośrodku o zbyt niskich lub zbyt wysokich temperaturach, intensywnym napromieniowaniu, bądź nietypowym polu grawitacyjnym.

Chcąc uzyskać możliwość przebywania w innym środowisku, człowiek musi stwarzać dla siebie sztuczną sferę istnienia: skafandry, batyskafy, hełmy, komory tlenowe itp. Nie wyobrażamy sobie na razie, by kiedykolwiek przyszło nam spacerować bez hełmów i skafandrów po oceanicznym dnie lub księżycowych równinach. Tymczasem w pracowniach naukowców rzeczy niemożliwe stają się powoli rzeczywistością.

A jednak istnieją również takie warunki, do których ciało ludzkie nigdy się nie przystosuje. Mamy na myśli przede wszystkim obszary pozaziemskie. Powstaje więc pytanie: co utrudnia człowiekowi podbój kosmosu? Może warto w ogóle zrezygnować z posiadania ciała?

Ciało potrzebne jest mózgowi przede wszystkim do podtrzymania jego pracy. Ale oto wyizolowany mózg małpy, umieszczony w warunkach zapewniających mu sprawną działalność, pracuje tak, że wszystkie jego parametry przez dłuższy czas pozostają w granicach normy. Oto pięć małpich głów oddzielonych od ciała żyje w ciągu 18 godzin, reagując na wszystkie bodźce zewnętrzne... To nie fantastyka, lecz opis autentycznych eksperymentów, których wyniki świadczą o tym, że pozbawiony ciała mózg przy zapewnieniu mu odpowiednich źródeł zasilania potrafi funkcjonować, odbierając z zewnątrz kompletną informację oraz przekazywać impulsy skierowane do nie istniejących poszczególnych członków ciała. Impulsy te mogą być zarejestrowane i przekształcone na ruchy i czynności podyktowane przez mózg. W jednym z moskiewskich instytutów naukowo-badawczych stworzono na przykład model biologicznej ludzkiej ręki manipulującej całkiem zgrabnie pod wpływem bioprądów.

Niektórzy specjaliści są zdania, że w 2000 r. ludzkość będzie dysponowała pełnym „kompletem” sztucznych narządów. Eksperti japońscy przepowiadają, że już w 1990 r. zostanie wyprodukowana sztuczna krew, która będzie dostarczała tlen do mózgu.

Próbując wyobrazić sobie istoty zamieszkujące świat przyszłości, uczeni amerykańscy wystąpili z ideą stworzenia organizmu cybernetycznego — symbiozy człowieka i maszyny. Istota taka ma ciało z tworzyw syntetycznych, którym kieruje umieszczony w głowie żywy ludzki mózg. Poszczególne zespoły i detale ciała są wymienne, a więc praktycznie biorąc — wieczne. W tej to postaci — twierdzą autorzy hipotezy — życie rozumne ma szansę rozprzestrzeniania się na innych planetach. Organizm cybernetyczny nie potrzebuje atmosfery, jest odporny na wszelkie zmiany warunków fizycznych i może wytrwać wszędzie, gdzie człowiek uzależniony od swej powłoki cielesnej nie przeżyłby nawet chwili. Jedyna rzecz, która jest potrzebna takiej istocie, to pewien zasób energii czerpanej ze źródła zewnętrznego i zapewniającej mózgowi biologiczne warunki funkcjonowania.

Możliwość udoskonalenia własnego ciała otwiera przed człowiekiem bardzo szerokie horyzonty. Istotnie — czyż nie jest niedopatrzaniem natury, że nie potrafimy odróżnić gołym okiem promieni ultrafioletowych od podczerwonych, że widzimy tylko to, co się dzieje przed nami, nie mając w zasięgu wzroku tego, co się znajduje z tyłu lub w górze? Nie korzystając z pomocy radia czy telefonu, jesteśmy zdani na moc własnych strun głosowych — taki jest bowiem zasięg danych nam przyrodą możliwości komunikowania się z otoczeniem. Organizmy cybernetyczne będą mogły nawiązywać kontakt na olbrzymią odległość, wykorzystując w tym celu specjalnie wmontowane kanały łączności...

Nikt jeszcze nie potrafił udowodnić, że człowiek mądry jest szczęśliwszy od głupiego. Niemniej — z niewiadomych przyczyn — każdy woli być mądrym. A zwłaszcza — mieć mądre dzieci. Nie wykluczone, że przyszłość otworzy przed ludzkością w tej dziedzinie takie drogi, o jakich dziś nie odważymy się nawet marzyć.

Ciekawe doświadczenia przeprowadza w swej pracowni prof. O. Hayns z Afryki Południowej. Jego metoda polega na tym, że przyszłe matki przez kilka tygodni spędzają pół godziny dziennie w komorach barometrycznych o niskim ciśnieniu, co powoduje gwałtowny przypływ krwi do płodu i stwarza warunki sprzyjające optymalnemu rozwojowi mózgu. Dzieci urodzone po serii takich zabiegów zdradzają ponoć wyjątkowe zdolności intelektualne.

Niewykluczone zresztą, że zostaną wynalezione jakieś inne, bardziej realne drogi przekazywania intelektu. Tak na przykład wśród badaczy zachodnich dość popularny jest pomysł sztucznego zapładniania, gdzie „ojcem” jest wybitny człowiek. Pomysł ów, choć dość niecodzienny, ma wielu zwolenników, do których zalicza się między innymi znany genetyk, laureat Nagrody Nobla, prof. H.J. Meller. Warto dodać, że metoda sztucznego zapładniania jest już dziś dostatecznie opracowana.

Nauka podejmuje w tej dziedzinie coraz to nowe próby. Jeden z najbardziej głośniejszych eksperymentów ostatnich czasów polega na tym, że z dojrzałego jaja kobiety usuwa się jądro i zamiast niego umieszcza się jądro pobrane z komórki somatycznej dawcy, którego typ genetyczny ma zostać odtworzony. Następnie jajo zostaje znowu umieszczone w macicy kobiety i po upływie dziewięciu miesięcy przychodzi na świat dziecko, które w stosunku do dawcy nie jest jego synem, lecz jednojajowym bratem bliźniakiem, czyli kopią genetyczną. Jedną różnicę między nimi stanowi to, że kopia jest o kilkadziesiąt lat młodsza od oryginału. W ten sposób wyjątkowo udane kombinacje genetyczne, które wraz ze śmiercią wybitnego człowieka zniknęłyby bez śladu, zostaną utrwalone i mogą być kopiowane praktycznie w nieskończoność.

Drogi ewolucji są bardzo różne, niektóre z nich wydają się nam fantastyczne. Ale czyż sama przyszłość nie jest fantastyczna?



ojawiła się w naszym domu po długim okresie niecierpliwego wyczekiwania. Czekaaliśmy na nią

w domu wszyscy — mama, tata i ja, ale trudno powiedzieć, kto z nas denerwował się tym długim czekaniem najbardziej. Przyjście Maleńkiej Tajemnicy do naszego rodzinnego grona miało zmienić cały nasz dotychczasowy tryb życia, i to w sposób zupełnie absolutny... I wreszcie — stało się! Właśnie wczoraj po południu tata przywiózł mamę ze szpitala do domu. A mama — tuliła do siebie nieduże zawiniątko, w którym, w stosie śnieżnobiałych ciuszków i ciepłych kocyków, drzemała najspokojniej w świecie Maleńka Tajemnica! Wcale nie interesowało ją, do jakiego domu przybywa, i z kim będzie miała do czynienia na co dzień! I, prawdę mówiąc, tym swoim przybyciem i zupełną ignorancją nas wszystkich, Maleńka Tajemnica trochę mnie rozczarowała... Wydawało mi się, że i ona — podobnie jak my wszyscy — będzie na nas czekać z radością, i od razu zaprzyjaźni się z nami, a tymczasem — ona po prostu spała!

W parę chwil później, kiedy mama z tatkiem zupełnie wariowali ze szczęścia, że są już razem, i w dodatku z Maleńką Tajemnicą, przeżyłem drugie rozczarowanie. Donośny płacz, dochodzący z becika, obudził moje najgorsze przeczucia, i już po kilku sekundach okazało się, że moje przeczucia mnie nie zawiodły. Kiedy mama pędziła do kuchni po paczkę pieluszek, tata wyjmował z gmatwaniny kaftaników i śpioszek moją wymarzoną Maleńką Tajemnicę, która — niestety — okazała się... dziewczyną! A przecież to miał być chłopak, mój braciszek, z którym już w myślach od dłuższego czasu bawiłem się w Indian, w myśliwych, grałem z nim w piłkę i biegałem po górach... A tu — dziewczyna! Ale będzie śmiech na podwórku, kiedy wszyscy dowiedzą się, że będę miał siostrę, której będę musiał pilnować!

Stałem jak oglupiał na środku pokoju, i zupełnie nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Mała istotka leżąca na łóżku darła się wniebogłosem, wierzgając wyswobodzonymi z pieluch nogami. Nigdy nie przypuszczałem, żeby w tak małym ciałku było aż tyle siły i energii. Jej płacz nie ustawał ani na sekundę, nawet wtedy, gdy mama założyła jej suchą pieluszkę i z powrotem zawinęła w mały becik. Tata wziął to całe zawiniątko na ręce, chodził po pokoju i delikatnie kołysał, a ona — rozbudzona i nie wiadomo czego chcąc — aż zanosiła się szlochem. Nie wiedziałem, czy mam wyjść z pokoju czy nie, mama zdenerwowała się na tatę, że bierze dzieciaka na ręce i od małego rozpuscita, więc tata położył małą do wózka, a ja zacząłem wycofywać się do kuchni. Na niańkę do dziewczyny nie nadawałem się absolutnie, i pomyślałem sobie, że będą z nią tylko same kłopoty. Tego, niestety, nie potrafiłem przewidzieć wcześniej! Żeby rodzice zrobili mi taki kawał, o to ich nie posądzałem. I nie mogłem zrozumieć, z czego oni się tak cieszą — z dziewczyny?!

I w tym momencie, kiedy już prawie znikam w przedpokoju, mając w uszach nie milknący płacz Maleńkiej Tajemnicy, czyli po prostu Izy — mama najzwyczajniej mnie zapytała:

— A ty, Tomek, nie przywitasz się z Izą? Zobacz, jaka ona śliczna!

Zdrętwiałem. O rany, ona i śliczna? Ten wrzeszczący brzdąc, będący dziewczyną, ma być niby śliczny, i ja mam się z nim jeszcze witać? Zupełny obłęd! Chciałem już mamie coś powiedzieć na ten temat, co myślę o takich „ślicznościach”, ale spojrzałem na nią i w porę zamilkłem. Patrzyła na mnie z uśmiechem, zupełnie nie domyślając się mojego rozgoryczenia i rozczarowania. Ona była tą małą rzeczywiście zachwycona! I wydawało się jej, że ja powinienem być, na równi z nią, też zachwycony!

Zrezygnowanym krokiem podszedłem do wózka. Czując na sobie uważny wzrok rodziców, pochyliłem się i delikatnie odsunąłem



„Rodzina” — dzieciom

## MALEŃKA TAJEMNICA

kawałek kocyka. W tym momencie płacz ucichł, a ja ujrzałem niebieskie, jak letnie niebo, małe oczka, wpatrujące się we mnie. W ogóle, cała Izka wyglądała jak laleczka — była tak maleńka, że aż trudno uwierzyć, żeby takie małe „coś” mogło być prawdziwym człowiekiem! I kiedy tak z uwagą przyglądałem się całej tej dziwnej istocie, wydało mi się, że ten berbec pusił do mnie oko! I, już zupełnie spokojny, zamknął oczy i znów zabierał się do spania! Coś nieprawdopodobnego, ile w takim maleństwie sprytu i rozumu!

Łaskawie spojrzałem na rodziców.

— Rzeczywiście — powiedziałem. — Ona nie jest brzydka. Zobaczmy tylko, co z niej wyrośnie!

Kiedy znalazłem się nareszcie sam, postanowiłem jeszcze raz przemyśleć całą tę historię. Musiałem pogodzić się z faktem, że to jednak dziewczyna. Czy będzie cały czas taka nieznośna, jak przed chwilą — tego nie wiedziałem. Ale było w niej coś, co mnie się spodobało. Na przykład — że przestała płakać, kiedy się nad nią pochyliłem. To by oznaczało, że jednak będzie się mnie słuchać, i że chyba mnie polubiła — choć to zwykła dziewczyna. Czy mam ją tak samo lubić, jak by to był mój braciszek? No cóż, może spróbować? Przecież i dziewczyny zdarzają się fajne...

O tym, że spróbować warto, przekonałem się już wieczorem. Przy kąpieli małej okazało się, że mamy wspólne upodobania. Chociaż jeszcze trochę nieudolnie, ale już próbowała pływać! A woda — to jeden z moich ulubionych sportów, mama i tata twierdzą, że pływam już jak ryba! Może za parę lat będziemy z Izką razem chodzić na pływalnię? A po kąpieli, nasza Maleńka Tajemnica — bo od dawna tak nazywałem małego przybysza — spokojnie i cichutko jak myszka usnęła. Wyraziłem przy tym nadzieję, że będzie tak grzecznie spała przez całą noc — bo ja też lubię się wyspać...

Podbudowany tymi spostrzeżeniami, bez protestu zjadłem na kolację twarożek, za którym nie przepadam, i poszedłem się umyć. W wannie, chlapiąc i polewając się wodą, myślałem już nad tym, jak by tu nazwać małą Izkę, żeby do niej pasowało teraz, bo Izka, to będzie później, jak dorośnie. Teraz jeszcze musi mieć dodatkowe imię, tylko jakie? Ja przed kilku laty ciągle jeszcze mówiłem o sobie „Tyti” — tak utkwiała mi w pamięci historia o Tomciu Paluszku, dla braciszka wymyśliłem, że będziemy na niego mówić „Acio” — miał mieć na imię Marcin, ale co wymyślić na dziewczynę? Trudno tak nagle wymyślić coś pasjonującego!

Zajęty wymyślaniem imienia, poszedłem w końcu spać. Przedtem jednak poszedłem zobaczyć, jak Maleńka Tajemnica, już po kolacji, najedzona i czystułka, smacznie śpi ze smoczek w buzi. Jeszcze tak śmiesznie ssła smoczek, wciągając i wydymając buzię, że chciało mi się śmiać do rozpuku. Wydawała przy tym jakieś ciche sapnięcia, przechodzące chwilami w gulgotanie. Mama próbowała ją naśladować, i razem z tatkiem szepotali do niej czule coś w rodzaju „gluglogli”... I wtedy nagle doznałem ośnienia. Mam! Dopóki nie urośnie, będziemy ją nazywać „Gugulka” — od tego zabawnego sapania i gulgotania. Dotknąłem palcem okrągłutkiej buzi i szepnąłem:

— Dobranoc, Gugulko, śpij grzecznie! Do jutra!

Zasypiając, nie mogłem się nadziwić, jaki dziwny jest ten świat. Gdyby ktoś parę dni temu powiedział mi, że będę się cieszył z siostrzyczki, z pewnością bym go wyśmiał. A dziś — nasza Maleńka Tajemnica, Gugulka, zupełnie zawojowała mnie swoją osóbką, i przestałem jej mieć za złe, że nie jest moim bratem! Ach, jakie to wszystko dziwne... Dziewczyna, i taka milutka!

E. ROSZKOWSKA



San Vitale, Rawenna, VI w., kapiteł i dekoracja mozaikowa. Sztuka chrześcijańskiego wschodu charakteryzuje greckie poczucie stylu, zamiłowanie do przepychu i bogactwa dekoracji, wycieczanie koloru i monumentalność.

#### CZWARTA WYPRAWA KRZYŻOWA UTWORZENIE CESARSTWA ŁACIŃSKIEGO W BIZANCJUM

Omawiając przyczyny tak zwanej schizmy wschodniej, zwróciłem uwagę na fakt, że w konflikcie wysłannika papieskiego Humberta z patriarchą Konstantynopola Cerulariuszem nie należy widzieć definitywnego zerwania jedności Kościoła. Mimo klątw, jakie nałożyli na siebie w 1054 roku obaj antagoniści, kontakty między Wschodem a Zachodem trwały nadal. Do definitywnego podziału na prawosławie i katolicyzm doszło po niechlubnej wyprawie łacinników na Bizancjum i utworzeniu w 1204 roku Cesarstwa Łacińskiego na terytorium zdobytym przez krzyżowców. Dziś poświęcę uwagę tym właśnie smutnym faktom.

Kościół Wschodni przez długie wieki opierał się mężnie ekspansji zaborczego islamu. Gdy jednak okazało się, że chrześcijański Wschód jest za słaby, by odeprzeć napór muzułmanów i odebrać im zagarnięte ziemie, cesarz i patriarcha Konstantynopola zaczęli się oglądać na braci z zachodu, oczekując od nich pomocy. Łacińskie kraje organizując wyprawy krzyżowe nie miały prawa myśleć, że czynią wyjątkowo przysługę Grekom. Gdyby bowiem runęło cesarstwo wschodnie, cały Zachód znalazłby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tymczasem zamiary organizatorów krucjat były jeszcze bardziej przyziemne. Obiecując 'oreźną pomoc w oswojeniu ziem cesarstwa greckiego spod jarzma Saracenów, planowali zagarnąć odbite terytoria dla siebie.

Realizując swe skryte zamiary, krzyżowcy już w czasie pierwszej wyprawy zorganizowali aż trzy łacińskie państwa na terenach Azji Mniejszej, okazując tym samym nieufność względem Greków i pogardę dla ich obrządku kościelnego. W każdym z tych państw powołali do istnienia hierarchię łacińską, mimo że żyli tam greccy biskupi i ich patriarchowie w Jerozolimie, Antiochii i w Konstantynopolu. Ale skryte zakusy krzyżowców sięgały dalej. Z zazdrością patrzyli na

# POGADANKI O HISTORII KOŚCIOŁA

bogata stolicę wschodniego cesarstwa, w której można było zagarnąć mnóstwo dóbr. Brakowało tylko pretekstu. Wrogą opinię wobec prawosławia urabiał nawet Bernard z Clairvoux — faktyczny władca duchowy zachodniej Europy w pierwszej połowie XII wieku. Wreszcie pretekst się znalazł. Bizantyjczycy odsunęli od swego tronu cesarza, który był spokrewniony z władcą Niemiec Filipem. Syn odsuniętego cesarza Aleksy poprosił Filipa o pomoc. Właśnie wtedy formowała się czwarta wyprawa krzyżowa. Za namową Filipa i Wenecjan skierowano ją w 1201 roku przeciw Bizancjum. Aleksy obiecał, że zmusi rodaków do uznania prymatu papieża Innocentego III, a Wenecjanom nada przywileje wyłącznego handlu z Konstantynopolem.

Przeciwko cesarzowi osadzonemu przez krzyżowców w Konstantynopolu bizantyjczycy pod-

nieśli bunt. Wówczas łacinnicy ponownie zdobyli miasto. Wojsko spod znaku krzyża zdobyło Bizancjum i złupiło go doszczętnie. Krzyżowcy spalili bibliotekę z bezcennymi dziełami, zniszczyli wiele kościołów, zabili tysiące kobiet i dzieci. Wszystkich tych okropności dopuszczono się na greckich współbraciach w imię wyższości obrządku łacińskiego nad greckim. Nic dziwnego, że prawosławni znienawidzili po tym wszystkim katolików. Grecki cesarz i patriarcha schronili się w Nicei. Krzyżowcy utworzyli w Bizancjum łacińską administrację państwową i kościelną. Powstało Cesarstwo Łacińskie w Bizancjum i łaciński patriarchat, którego jednak większość prawosławnych nawet pod groźbą prześladowań nie uznawała.

Papież o zamiarze krucjaty przeciwko Grekom nie był prawdopodobnie powiadomiony. Gdy jednak dowiedział się o zwycięst-

wie krzyżowców i utworzeniu państwa łacińskiego w Konstantynopolu, napisał radosny list do pierwszego łacińskiego cesarza w Bizancjum, nazywając barbarzyński wyczyn łacinników „cudem Bożym”. Radził cesarzowi, by zbyt szybko nie usuwał prawosławnych biskupów z ich stolic, lecz żądał tylko uległości łacińskiemu patriarche w Bizancjum i papieżowi w Rzymie. Miało to upozorować dobrowolną uległość i łagodzić skutki narzuconego siłą jednego obrządku. Cesarstwo łacińskie w Bizancjum przetrwało tylko do 1261 roku. W czasie jego istnienia papież sprawował władzę nad Zachodem i Wschodem. Nie była to jednak władza nad żywym Kościołem greckim. Przemoc stosowana przez łacinników ugruntuwała w sercach ludu prawosławnego nienawiść do ciemności i jeszcze większe przywiązanie do wiary ojców i soborowego obrządku greckiego. Gdy papież zignorował prośbę o zezwolenie na wybór prawosławnego patriarchy w Bizancjum, biskupi prawosławni udali się do Nicei, gdzie zmarł zbiegły patriarcha i tam na jego miejsce wybrali nowego patriarchę prawosławnego dla Konstantynopola. Patriarchę tego uznali całym prawosławny świat.

Odtąd wszelkie więzy łączące prawosławie z katolicyzmem zostały zerwane na długie wieki.

**KSIĄDZ LUKASZ**

#### ZAKONY RYCERSKIE

Sukcesy krzyżowców odniesione już podczas pierwszej wyprawy, mogły być utrzymane i poszerzone bez konieczności ponawiania olbrzymiego wysiłku rycerstwa całej zachodniej Europy, gdyby ludzie walczący pod znakiem krzyża ściśle współdziałali z miejscowym chrześcijaństwem obrządku wschodniego. Gdyby papież, królowie, biskupi i rycerze przyszli Grekom z braterską prawdziwie bezinteresowną pomocą, a uwolniwszy ich spod jarzma muzułmańskiego uszanowali ich prawa i zwyczaje, skończyłyby się niesnaski i zapanowałyby prawdziwa jedność Kościoła Chrystusowego. Tymczasem krzyżowcy łacińscy robili wszystko, by zniechęcić do siebie nawet najbardziej ugodowo nastawionych chrześcijan greckich. Stworzyli własną administrację państwową i kościelną, pogardzali duchowieństwem prawosławnym, nakładali na Greków te same ciężary, jakie musieli dźwigać wzięci do niewoli Saraceni. Wielu azjatyckich chrześcijan odczuło z goryczą, że mniej cierpieli w niewoli wyznawców islamu, niż pod twardą ręką „oswobodzicieli”. Takiej władzy nie chcieli i nie mogli popierać. Zaciągnięci wojskowe wśród miejscowej ludności szły bardzo opornie i krzyżowcy zaczęli sobie szybko zdawać sprawę, że ich trud może iść na marne, jeśli nie zostawią na zdobytych ziemiach własnych silnych załóg. Ponieważ regularne wojsko musiało wracać do ojczyzny, część samotnych, młodych rycerzy, z pobudek religijnych ślubowała toczyć bój w obronie wiary, aż do zgonu. Z tych ludzi ukonstytuowały się specjalne zakony zwane rycerskimi. Największy rozgłos i znaczenie zyskali joannici, templariusze i krzyżacy.

Założnikiem joannitów było bractwo powstałe w Jerozolimie jeszcze za panowania Saldżuków. Członkowie bractwa opiekowali się chorymi pielgrzymami, przybywającymi do miejsc świętych zwłaszcza do grobu Pana Jezusa. Ponieważ siedziba bractwa mieściła się przy kościele św. Jana, zakon rycerski powstał na tym miejscu zyskał miano joannitów. W skład zakonu wchodził kapłan, rycerze i bracia. Na czele stał wielki mistrz, a gdy zakon rozrósł się, poszczególne twierdze zarządzali komturowie. Joannici nosili czarny płaszcz z naszytym na boku białym krzyżem, zaś do boju stroili się w czerwony kaftan z białym krzyżem. Po upad-

ku Jerozolimy przenieśli swoją główną siedzibę do twierdzy Akkon na wybrzeżu Ziemi świętej, potem na Rodos, a gdy i tę wyspę zdobyli mużłmanie, osiedlili się na Malcie uzyskując drugie miano: Kawalerów Maltańskich. Kawalerowie maltańscy istnieją do dziś, lecz już nie jako zakon rycerski, lecz honorowe stowarzyszenie.

Templariusze założył rycerz francuski Hugon Król jerozolimski osadził ich obok świątyni Salomona. Świątynia po łacinie zwie się — templum — stąd nazwa zakonu. Regulę dla templariuszy ułożył sam św. Bernard z Clairvoux. Nosili białe płaszcze z czerwonymi krzyżami. Z czasem przenieśli się do Akkon, a ostatecznie na Cypr i do Francji, skąd rekrutowała się większość członków zakonu. Wpadli w zatarg z królem francuskim Filipem IV Pięknym, który spowodował ich kasację na podstawie oskarżenia o herezję. Wielu templariuszy zginęło na stosie. Ogronne majątki zakonu uległy konfiskacie.

Obydwa te romańskie zakony sprowadził do Polski książę Henryk sandomierski, fundując dla joannitów klasztor w Łogocinie, zaś dla templariuszy w Opatowie koło Sandomierza.

Krzyżacy powstał w obozie pod Akkon w 1191 roku. Pełna nazwa zakonu brzmiała: Zakon Najświętszej Marii Panny domu niemieckiego. Opiekę nad nimi miał sam niemiecki cesarz. Nosili białe płaszcze z czarnym krzyżem. Do Polski sprowadził ich w 1226 roku książę Konrad Mazowiecki, osadzając na pograniczu pruskim, gdzie wyrosł na potężnego i okrutnego wroga Polski i wiary. Po upadku twierdzy Akkon krzyżacy przenieśli swą główną siedzibę do Wenecji, a potem do Malborka nad Nogatem.

W Hiszpanii toczyły bój z muzułmanami dwa mniejsze zakony rycerskie: św. Michała i św. Jakuba. W Inflantach powstał niemiecki zakon kawalerów mieczowych, który wkrótce połączył się z krzyżakami. Podobny los spotkał braci dobryńskich, którzy ze względu na znikomą ilość członków zostali wcieleni do zakonu krzyżackiego.

Zakony rycerskie odegrały wielką polityczną i religijną rolę w życiu Europy. Prawdą jest jednak, że chrześcijaństwu przyniosły więcej szkód niż pożytku. Oni bowiem przejęli na siebie główny ciężar obowiązków misyjnych, ale ogień i miecz, którym się posługiwali w nawracaniu niewiernych, zaprzeczały zupełnie Ewangelię Chrystusową.

**KSIĄDZ LUKASZ**



# Rozmowy z Czytelnikami

Naszej wiary nie możemy budować wyłącznie na wiadomościach wyniesionych z rodzinnego domu, z salki katechetycznej i niedzielnych kazań. Stajemy się coraz bardziej społeczeństwem ludzi wykształconych. Interesujemy się tym wszystkim co nowe i bliskie dzięki oddziaływaniu telewizji, radia, prasy i innych środków masowego przekazu. Górnik zna się nie tylko na sposobie wydobycia z ziemi węgla, a rolnik nie tylko zainteresowany jest nowoczesną produkcją rolną. Nie zawsze jednak wiadomości ogólne o współczesnym świecie idą w parze z wiadomościami dotyczącymi życia religijnego. Tymi ogólnymi uwagami o konieczności pogłębienia swoich wiadomości religijnych chciałbym zachęcić Czytelników do przestudiowania dokumentów Prawosławno-Starokatolickich. „Jedność Kościoła i Kościoły Lokalne” oraz „Granice Kościoła”. Może ich treść nie dla wszystkich jest całkowicie zrozumiała, jednakże łącznie z wiadomościami religijnymi publikowanymi w różnych formach na łamach naszego tygodnika dopomogą w głębszym poznaniu tajemnicy Kościoła

O zainteresowaniu tym zagadnieniem świadczy list Pana Jana K. z Kielc: „W „Rodzinie” z dnia 20 stycznia 1980 r. zamieszczony był wspólny komunikat Kościoła Prawosławnego i Kościoła Starokatolickiego o podpisaniu dwóch dokumentów dotyczących jedności Kościoła, Kościołów Lokalnych i granic Kościoła. Dokumenty te podpisał biskupi, profesorowie i inni przedstawiciele prawie wszystkich Kościołów Prawosławnych i Starokatolickich. Interesuję się sprawami wiary i Kościoła, jednak szczerze przyznam, że wspomniane dokumenty są dla mnie trudne do zrozumienia. Zwracam się z prośbą o przystępne dla przeciętnego chrześcijanina wyjaśnienie ich treści. Wyrażam również swoją radość z dialogu prowadzonego między Kościołami Prawosławnym i Starokatolickim”.

Prawosławno-Starokatolickie ustalenia wyjaśniające na czym polega jedność Kościoła, jaki jest wzajemny stosunek poszczególnych Kościołów Lokalnych do siebie i do całego Kościoła oraz wskazujące na zasięg granic Kościoła, są wynikiem ekumenicznych rozmów prowadzonych między obydwoma Kościołami. W

moim przekonaniu dokumenty te, choć nie wnoszą nowych elementów do tradycyjnej nauki o Kościele, to jednak ogromnie pomagają w zrozumieniu tajemnicy Kościoła. Stąd też powinny być szczególnie przez nas kapłanów dogłębnie poznane i w przystępnej formie przekazywane wier-  
nym.

Kościół jest jednym i niepodzielnym Ciałem Chrystusa, stwierdza dokument „Jedność Kościoła i Kościoły Lokalne”. Zrozumieć tę sprawę to znaczy uznać wiernych należących do innych Kościołów Lokalnych za członków tego samego Ciała Chrystusowego. Gardzić innym Kościołem Lokalnym i poniżać go, to znaczy gardzić Chrystusem. Jednym z Kościołów Lokalnych jest to Kościół Polskokatolicki, czyli ty i ja, my Polacy, którzy razem z biskupem, przekazaną nam przez Apostołów wiarę czystą i nie fałszowaną pragniemy zachować i według niej żyć. Kościołem Lokalnym jest Kościół Prawosławny i Kościół Rzymskokatolicki, Kościół Ewangelicki i Kościół Anglikański.

Zorganizowanie wymienionych i nie wymienionych Kościołów Lokalnych nie znosi jedności Kościoła o tyle, o ile Kościoły Lokalne zachowują wiarę daną im od Pana przez Apostołów. Ten jeden niepodzielny Kościół nazywany jest przez dokument Kościołem Katolickim. Określenie „Kościół Katolicki” nie należy utożsamiać z Kościołem Rzymskokatolickim, który siebie wyłącznie nazywa Kościołem Katolickim.

Jedność we wierze jest fundamentem, na którym zbudowany jest Kościół Katolicki. Wiemy, że Kościół założony przez Jezusa Chrystusa został w ciągu wieków podzielony na wiele Kościołów, które są niezgodne między sobą, ponieważ wiara i nauka przekazywana przez Apostołów, na skutek ludzkiej słabości i pomyłek była sfałszowana. Opierając się na tym fakcie niektórzy sądzą, że Kościoły Lokalne posiadają tylko część prawdy. Przeciw temu błędnemu mniemaniu dokument „Granice Kościoła” stwierdza; „Jednak od jego (Kościół) założenia aż do dnia dzisiejszego istnieje prawdziwy, jedyny, święty, katolicki i apostołski Kościół bez przerwy dalej tam, gdzie prawdziwa wiara, kult i ustrój starego, niepodzielnego Kościoła

w sposób czysty są zachowane, tak jak one swój wyraz i swoje sformułowanie w definicjach i kanonach siedmiu synodów ekumenicznych i uznanych synodów lokalnych, jak również u Ojców Kościoła, znalazły”. Dokument nie wymienia mniemnie Kościołów Lokalnych, które zachowały warunki świadczące o ich prawdziwości. Nie rozstrzyga w sposób autorytatywny, bo tak rostrzygać nie może, ten czy inny Kościół Lokalny jest prawdziwym Kościołem Jezusa Chrystusa. Jest to wyraz ekumenicznej pokory, pobudzający nas wszystkich do nieustannego wysiłku w szukaniu, zachowywaniu i przekazywaniu nieskażonej wiary otrzymanej od Pana.

Dokumenty w swej całości są zwięzłe i interesujące. Mnie jako duszpasterza interesują przede wszystkim te fragmenty, które wskazują na Eucharystię, czyli Mszę św. jako wyraz i źródło jedności Kościoła. Msza św. jest dla społeczności katolickiej centrum, przez które okazuje się światu nasza jedność i przez które ta jedność jest budowana. Dzięki Mszy św. jednoczymy się z Jezusem Chrystusem-Głową Kościoła i z braćmi. Dzięki Niej nie tylko ci nasi bracia, którzy uczestniczą obok nas w tej samej Mszy św., ale wszyscy wierni zbierający się wokół ołtarza w innych miejscowościach, tworzą z nami jeden Kościół — Ciało Chrystusa. Stąd wypływają dale-

ko idące wnioski praktyczne. Nie uczestniczące we Mszy św. odrywamy się od jedności z Kościołem i stajemy się martwymi członkami Chrystusowego Ciała. Uczestnicząc w Niej, mamy to czynić w pełnej łączności z Ciałem i Krwią Chrystusa, czego wyrazem jest przyjęcie Komunii św. Przyjęcie Komunii św. byłoby kłamstwem gdybyśmy nie pojednali się z braćmi, którzy pożywają ten sam chleb. Jak zaprawa murarska łączy elementy budowlane, tak dar miłości obficie rozlewany ze źródła-Mszy św. powinien jednoczyć członki Kościoła.

Sprawowanie „świętej Eucharystii dokonuje się w łączności z prawowitym Biskupem i jego kapłaństwem”. Nie ma Mszy św. bez biskupa lub jego pełnomocnika — kapłana. Symbolicznym wyrazem tej prawdy jest roczne uczestnictwo przedstawicieli wszystkich parafii Kościoła Polskokatolickiego we Mszy św. sprawowanej w Wielki Czwartek przez Biskupa.

Zaledwie dotknąłem niektóre z zagadnień zawartych w Prawosławno-Starokatolickich dokumentach o jedności Kościoła, Kościołów Lokalnych i granicach Kościoła. Zachęcam braci kapłanów do spopularyzowania tej nauki wśród naszych wiernych.

**Wszystkich Czytelników serdecznie pozdrawiam.**

**DUSZPASTERZ**

## Konieczna pomoc dentysty!

Córka naszego Czytelnika, p. E. Józefiaka z Wałbrzycha, dziewczyna już dorosła, od dłuższego czasu cierpi z powodu uporczywych bólów zębów. Wszystkie zęby dolnej szczęki ma całkowicie popsute. Bierze nieustannie tabletki przeciwbólowe, ale nie może zdecydować się, mimo namowy rodziców, na wizytę u dentysty, którego się panicznie boi. Nasz Czytelnik, wierząc w siłę słowa drukowanego, zwraca się z prośbą do Redakcji, by przekonała jego córkę o konieczności odwiedzenia Poradni Stomatologicznej. No cóż, spróbujemy.

Dlaczego konieczna jest pomoc dentystyczna w takim wypadku? Nie idzie tu tylko o urodę, która też nie powinna być obojętna dla młodej dziewczyny, idzie głównie o coś wiele ważniejszego. Zepsute próchniczo zęby są stałym, groźnym dla całego organizmu, źródłem infekcji. Infekcja ta może zaatakować śluzę (ostre gościec stawowy), może być przyczyną zapalenia mięśnia sercowego, a także bardzo poważnych schorzeń nerek. Wreszcie miejscowo może dojść do ropnego zapalenia kości szczęki dolnej, wymagającego zabiegu chirurgicznego.

To zresztą nie wszystko. Chore zęby nie pozwalają należycie gryźć pokarmów, a tykanie, nie przeżute kęsy, powodują gorsze trawienie, a w przyszłości zaburzenia w funkcjonowaniu przewodu pokarmowego. Chyba dosyć?

A czy lek przed dentystą jest rzeczywiście racjonalny? Obecnie nie wykonuje się usuwania zepsutych zębów „na żywo”, ale zawsze pod znieczuleniem. Nawet w większych ośrodkach stomatologicznych istnieje możliwość także leczenia bezbolesnego („borowania”) zębów przy pomocy aparatu o wysokiej częstotliwości obrotów — wówczas to skądinąd nieprzyjemny zabieg jest bezbolesny.

Na zakończenie — przestrzegamy przed stałym używaniem tabletek przeciwbólowych, nie są one obojętne dla organizmu. Dłuższe przyjmowanie tych tabletek może uszkodzić wątrobę, a poza tym powodują one przyzwyczajenie i konieczność zwiększania dawki. Jest to tak zwana lekomania, czyli pewnego rodzaju narkomania — uzależnienie od leku.

Mamy nadzieję, że udało nam się przekonać córkę naszego Czytelnika, by wreszcie zdecydowała się na wizytę u dentysty. Czas ku temu najwyższy! Jest Pani młodą osobą i powinna dbać o siebie. Piękny uśmiech zdobi przecież kobietę, tak jak najmodniejsza bluzka lub piękna sukienka.

Zyczymy powodzenia i pozdrawiamy Panią i Jej Rodziców.

**LEKARZ**

Wydawca: Społeczne Towarzystwa Polskich Katolików. Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Balaker, bp Maksymilian Rade, ks. Tomasz Wajtowicz, ks. Wiktor Wysocki (przewodniczący Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciak (redaktor techniczny), Marek Dziegielewski (redaktor graficzny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Roszkowska, Irena Siemiątkowska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefon redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33.

Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 24 zł, półrocznie 52 zł, rocznie 104 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zawierają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kółpocztowej Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Zam 337 C-56.

**rodzina**  
TYGODNIK KATOLICKI



Drzewa poruszały czubkami, zakolysały się liście, sypiąc roje różnobarwnych motyli. Zaintonowało kilka donośnych głosów ptasich i wnet zagrzmiała cała lutnia hucznie, wesolo, triumfująco!

Wrzask ptaków, brzęk muszek i komarów, plusk wstrojonej fali — wszystko krzyczało, podając sobie wzajemnie wieść radosną:

— Różowa pani na niebie... prowadzi słońce... Dzień, dzień! pogoda, radość!

I hymny przepojone szczęściem leciały ku niebu wysoko, a musiano je tam słyszeć, bo jasny strop nieba stawał się coraz błękitniejszym. Niebo uśmiechało się do ziemi, a ziemia śpiewając, ślała również swe uśmiechy.

Nagle po opalowej fali popłynęła rzeka roztopionego złota, złotem zaświeciły drzewa, złote sypało się w powietrzu.

Weszło słońce! piękne, majestatyczne, szczerozłote! Wrzawa powstała jeszcze większa, lutnia ptasia rozigrzała się. Szczehoty, śmiechy, świsty, fruwanie napelnili przestwory powietrzne, bijąc w złoty pył, którym krzeje, niech złoci. Król! król!

A wspaniała, cślepiająca blaskiem tarcza królewskiego majestatu wznosiła się w górę poważnie, wolno, rozrzucając na ziemię miliardy iskier i błogosławiac.

Urbi et orbi!

Stefcia spuszcza głowę na piersi. Uśmiech radosny znikł z jej twarzy. Jakby na przekór roześmianej naturze, dziewczyna posmutniała.

Siedziała na kamiennej ławeczce nad brzegiem jeziora, wtulonej w zwoje brzoź. W nocy spać nie mogła i jeszcze przed świtem, w zupełnej pomroce, wyszła cicho z pałacu i przybiegła tu, na brzeg jeziora. Myślała o słońcu, czy wędziedzie...

Jej wieczór imieninowy zostawił coś niezatartego w jej duszy i myślach. Odczuwała, że jasność ta wschodzi w nią z innej, równie rozbudzonej światłości. Wiedziała, że jest świt, lecz jakiego dnia? Czy wędziedzie słońce, czy chmurny połysk stali? Ogarnęło ją zamyślenie i trwoga. Powoli mroki nikły i jej twarz jaśniała, w oczach coraz więcej błyszczało iskier, w duszy nadziei. Nieruchoma, zapatrzona i zasluchana w głosy natury od samego ich porzucenia, wchłaniała w siebie tyle barw, tyle złota, ile brała fala i kryształ powietrza. Aż rozjaśniła się promiennie, uroczyście.

Słońce weszło!

Razem z lutnią ptasia i ona wznosiła pieśń, choć milczące, ale równie piękne. Natura powtarzała to, co się działo w jej duszy.

— Słońce, słońce! Czy dla mnie?...

Znak zapytania zawisnął chmurą na świetnym obrazie. Słońce weszło, brzmiały hymny radosne...

Ale czy dla niej?... czy dla niej?...

## XXIV

Wystawa! Magiczne słowo, ściągające do środowisk ludzkich — jeszcze więcej ludzi, do zbiorników cywilizacji, wyczynów kultury — jeszcze więcej dowodów pomysłowości ludzkiej i genialnych zdchyczy wiedzy. Rojne ulice wielkiego miasta wypełniały się podwójnie, w hotelach brakło mieszkań, w ogrodach, restauracjach, cukierniach — wszędzie brzmiał niezwykły gwar. Na dworcu kolejowym ruch zesrodkowywał się. Co chwila wpadały pod hale pociągi wypełnione publiką. Głównie jednak znać było zwiększenie przyjezdnych w pierwszej i drugiej klasie. Trzecia pozostała jednakowo pętna, bez różnicy. Czasem wysiadł ktoś z zielonego wagonu, dążący również na wystawę — jakiś skromny wystawca lub kupiec inwentarza, mający dużo pieniędzy, a mało wymagań. Takich, którzy by jechali na wystawę dla przyjemności, tu się nie spotykało: do nich należały niebieskie i żółte bilety. Niezwykły, świąteczny charakter przybrało miasto. Dopomagała do tego śliczna pogoda. Wrzesień całe swe złoto jesienne sypał na strojne ulice, ogrody i przybrany we flagi plac wystawowy — ciskał gorące, jasne smugi na twarze i stroje zebranych tłumów.

Środkiem głównej ulicy jechało wspaniałe lando, zaprzężone w cztery czarne, piękne araby. Uprząż lśniła od lakierów i nabijanych brzoź. Stangret i lokaj w pysznej liberii wyglądali typowo. W głębi, na ciemnokarmazynowych poduszkach landa siedział Waldemar, wytworny, ubrany z pełną smaku elegancją. Często zdejmował kapelusz na powitanie znajomych lub oddawał ukłony, strojny zaprzęg i strojna postać właściciela robiły wrażenie; na chodnikach rozległy się pytania i odpowiedzi uświadomionych:

— Czyje to konie?... Kto to jedzie?...

— To z Głębowicz. Ordynat Michorowski.

— Ten magnat? On ma najwspanialszą stajnię na wystawie.

Waldemar jechał na koleję, gdzie miał spotkać dziadka i panie ze Słodkowie. Na dworcu była już panna Rita, Trestka i Wiluś. Ten gorączkowo chodził po peronie w oczekiwaniu pociągu.

Trestka zażartował z niego, że opuścił kursa i tu przyjechał nie na wystawę, ale dla tego pociągu, jaki ma nadejść, i że z tęsknoty jest nieprzytomny.

Student odcinał się Trestce, jak umiał, lecz nie przeczył. Waldemar gryzł wąsy. Drażniło go to. Ale gdy po danym sygnale wyszedł na peron i zoba-

czył Wilusia, który stał na samym brzegu asfaltu, wychylony naprzód i wpatrzony w zbliżający się pociąg, nie wytrzymał i przechodząc koło niego rzekł z pewną ironią:

— Szkoda, że pan z bukietem nie wystąpił.

Student spojrzął na niego żalostnie, spuścił oczy i poczerwieniał.

Pociąg wpał pod halę dworca. Waldemar szedł wolno i przeglądał okna pierwszej klasy. W jednym błysnęła twarzyczka Lucii, potem ukazał się pan Maciej i pani Idalia. Waldemar zaniepokojony wskoczył do środka, zanim jeszcze pociąg stanął. Stefcia, pochylona nad ławką, zawiązywała jakąś paczkę. Ordynat szybko podszedł do niej, podał sobie ręce w milczeniu. Spojrzął głęboko w jej oczy i przycisnął do ust jej rękę. Stefcia oblała się rumieńcem jak ogniem. Ten cichy hold jego wstrząsnął nią. Lucia widząc to, już się nie zdziwiła. Panna Rita, Trestka i Wiluś weszli równocześnie. Zaczęły się przywitania i głośna, urywana rozmowa.

Niedługo potem po głównej ulicy toczyło się znowu lando ordynata, wiozące pana Macieja, baronową, Lucie i Wilusia Szelige. W drugim powozie parokonnym, także z Głębowicz, jechała panna Rita ze Stefcią, Waldemar i Trestka. Rita mówiła:

— Wie pan? moje konie robią węgę. Pańskich nie prześcignęły, ale jednak są na wysokości...

— Moich koni czy aspiracji pani?

— Złośliwy! Do pańskiej stajni jeszcze nie dorosłam.

— Zabawne zestawienie!

— A ja jestem szczęśliwy, że żadnej szkapy nie przyprowadził — rzekł krzykliwie Trestka.

— Tak, to zwiększa pańskie szanse — zauważył z uśmiechem Waldemar.

— Właśnie o to mi chodziło.

Panna Rita utkwiała w nich obu ostry wzrok, który jednak nie miał własności zahajczych, bo się panowie tylko uśmiechnęli zamiast przestraszyć.

— O co to panu chodziło? i o jakich to szansach pan mówi, panie ordynacie?

Waldemar zrobił komicznie poważną minę.

— Ja mówiłem o wyścigu hipicznym, łaskawa pani sportsmenko.

— Jak to?

— Bo każdy z nas może wyścig przegrać, a kto koni nie posiada, ten ma zawsze szanse wygrania przez to samo, że nie będzie grał.

— Paradoks! A pan?

Trestka był zaskoczony.

— Ja? Ja mniej więcej to samo, co ordynat.

— Mój kochany panie, pozwól sobie na większą odwagę — zaśmiał się Waldemar.

Panna Rita wzruszyła ramionami i zawołała do Stefci:

— Co pani sądzi o tych oto panach?

— Ze są w jakimś konflikcie z panią i że się państwo wzajemnie nie rozumiecie.

— Ech! nie powiedziała pani tego, czego chciałam.

W hotelu zebrali się już całe towarzystwo. Po powitaniach i przebraniu się wszyscy weszli do dolnej sali restauracyjnej na śniadanie.

Było osób do dwudziestu. Dość ładna, lecz nieeuropejska sala przybrała natychmiast wygląd bardziej zachodni. Księżna Podhorecka i Maciej Michorowski nadawali główny ton zebraniu. Waldemar uświetniał je; zresztą wszystkie twarze rozpromienione, brzydsze lub piękniejsze, ale przeważnie rasowe, miały pewną cechę wyjątkową. Gustowne uczesania i stroje pań przy mniej lub więcej wytwornych postaciach męskich tworzyły całość zupełnie cywilizowaną i bardziej estetyczną. Ale w mieście tym nie wszyscy byli oswojeni z towarzystwem tego pokroju, zwłaszcza tak licznym: kilka osób, siedzących przy stolikach, po wejściu i rozlokowaniu się patrycjatu cichaczem wyszło do drugiej sali.

Wesołość zapanowała niezmaczona, lecz utrzymana w tonie zastosowanym do stylowych postaci głównych: księżnej i pana Macieja.

Nie przeszkadzało to młodemu hawiści się z bujną swobodą. Sala, trochę za ciasna i za mało wykwiłtna, niechęć się jednak nadawała do utworzenia całości przygodnie wystarczającej. Kieliszki były z mierniejszego kryształu, choć restaurator powyciągał, co miał najlepszego, ale wina lały się dobrze, a szkło, byle napelnione klasycznie i przy ożywionej temperaturze, dźwięczy zawsze jednakowo.

## XXV

Wszystkie pawilony wystawy brzmiały życiem.

Mijały się z sobą rozmaite światy, różne sfery, jedną pchane myślą: obejrzenia, co najciekawsze. Scierały się dysputy, największe tłumy dążyły na główny plac do rotundy drobnego przemysłu, ubranej w wieńce i chorałiewki, a przy wejściu w ciepłarniane rośliny. Tam panowała zupełna

